



18 Rok XVI
(807)

CENA 1.50zł

6. 5. 73

**TWÓJ
ANIOŁ
STROŻ**



CZYTAJ NA STR. 4

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY



W KRAINIE WIELKICH WYDM

EWA BEKIER

Kiedy opuszczaliśmy Algier, udając się na kilkusetmilionową eskapadę saharijską, tonął on w strugach ulewnej deszczu. Rzadko spotykany widok, który usprawiedliwiała wczesnowiosenna pora deszczowa. Początek kwietnia. Nasza seledynowa „Cortina” przemija w gęstwie innych wozów krętymi i pnącymi się pod górę ulicami miasta, z El-Biaru przez Buzareę na rogatki.

Deszcz urywa się nagle i słońce nasycza krajobraz ciepłym barw. Mijamy wioski i miasteczka, przyklejone z obu stron do szosy. Szpalery palm daktylowych, biegnące brzegiem chodnika, użyczają swego cienia kawiarenkom zainstalowanym pod gołym niebem. Przy stolikach mężczyźni w żółtych i białych zawojach na głowach popijają kawę z małych filiżanek i grają w domino. Kobiety ani śladu. Nie mają prawa wstępu do kawiarni ani spacerowania po ulicach. O ile w stolicy i w dużych miastach na północy Algierii kobiety korzystają ze względnie dużej swobody, o tyle w głębi kraju, we wsiach i miasteczkach południa, stanowią one wciąż jeszcze, jak za

dawnych czasów, prywatną własność ojca lub męża, która się rozporządza według własnego uznania. Domy przy drodze są otoczone kamiennym wysokim murem, a maleńkie zakratowane „Judasze” stanowią jedyną drogę kontaktu kobiet z otaczającym światem.

Skręcamy na południe, przecinając niewysokie stoki Atlasu Telskiego. Jest coraz goręcej. W nocy jednak temperatura spada do zera, a w nieopalanym pokoju hotelowym w miejscowości Mascara (za „jedynę” 30 dinarów, czyli 6 dol.) burzą nam co chwila sen dodatkowe atrakcje: spacerujące z wielkim chrobotem tamiz powrotem przez środek pokoju dwa ogromne czarne kafary wielko-

ci naszych szeszurów oraz stada zielonych jaszczurek, uganiające się w najlepsze po ścianach i suficie, jak esy-floresy, w kalejdoskopie nocy.

Złodowaciał i niewyspani wyruszamy wczesnym rankiem i wkrótce z objęć Atlasu Telskiego wydostajemy się na rozległy piaszczysto-gliniasty płaskowyż, porośnięty z rzadka kępami trawy alfa. To kraina Hauts Plateaux — ogromne, na wpół stepowe pustkowia, rozciągające się od horyzontu po horyzont bez śladu życia. Nasilający się żar słońca zacięra szybko wspomnienia mroźnej nocy. Idealnie pustą szosą, pośrodku wymarłej, spieczonej pustelni, nasz samochód jak rozpalona rakietka gna przed siebie z maksymalną szybkością. Gorący suchy wiatr wpada z impetem wszystkimi oknami, nie przynosząc chłodu. Mijają godziny za godzinami. Wreszcie po przeszło 500 km pędzenia poprzez zamary step zaczynają się pojawiać pierwsze oznaki życia. W małym bu-

rym rozlewisku o 100 metrów od szosy moczy swe długie patykowate nogi bladobiałe flamingi. L... nareszcie człowiek! Samoiny szibami w burej kaszabii siedzi nieruchomo na skraju szosy, zapatrzony w dal. Kiedy go mijamy, uśmiecha się do nas i macha przyjaźnie ręką.

Przed nami zarysy granatowych łańcuchów górskich. To Atlas Saharyjski, a za nim już Sahara. Przybliżyliśmy się szybko do rosłych w oczach czarnych gołych gór. W pewnej chwili góry odsuwają się od siebie, odbiegając aż po linię horyzontu. Znajdujemy się nagle pośrodku rozległej sfalowanej „płazy”, którą daleko przed nami przecina ciągnący się jak wąż sznur zieleniejących palmiarni. To palmiarnie Beeharu — oazy, leżące u wrót pustyni na transsaharyjskim szlaku, łączącym wybrzeże Morza Śródziemnego

Dalszy ciąg na str. 9

BERLIN 1945

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

W życiu każdego człowieka są dni na zawsze odcisnięte w pamięci. Z wyjątkową wyrazistością zachowują się szczegóły i drobiazgi, kolory i dźwięki. Takimi dniami, a ściślej takim dniem, był dla mnie 1 maja 1945 roku. Minęło ćwierć wieku, a jednak widzę teraz wydarzenia tamtego dnia, jakby wszystko nastąpiło dopiero wczoraj.

Byliśmy w Berlinie, w głowę, rękę i nogę, znagrzmieli wystrzały i zaczęły się na samym początku wojny w okrażeńiu, a tym samym w niemieckim obozie koncentracyjnym, próbować dwu ucieczek, z których powiodła się dopiero druga. Z powinnościami poety byłem w Stalingradzie, pod Kurskiem, przy forsowaniu Dniepru, Wisły i Odry, i oto na koniec znalazłem się w Berlinie. Ale idylliczna ta nazwa moich obowiązków nie przeskodziła mi odnieść rany

Dalszy ciąg na str. 3

TRUDNE LATA

MIECZYŚLAW SKARŻYŃSKI

Lata 1914–1918 były najcięższe dla miasta i ludności od początków jego istnienia. Były to jednocześnie lata walki o życie Łodzi, walki która wykazała konieczność współdziałania wszystkich mieszkańców, poświęcenia i pracy dla dobra rodzinnego miasta. Tylko dzięki spełnieniu tych warunków stało się możliwe przetrwanie trudnych dni.

Pierwsza połowa 1914 roku zapowiadała nadejście okresu pomyślnego dla miasta. Zdawało się, że dobra koniunktura na towary produkowane w łódzkich fabrykach trwać będzie w dalszym ciągu. Liczba ludności rosła nieustannie, przekraczając pół miliona; budowano nowe i powiększono już istniejące fabryki. Włości o-wspania-

nych urodzajach w Rosji, głównym rynku zbytu dla łódzkich tkanin nakazywały zwiększać produkcję i magazynować na okres jesienno-ny duże ilości towarów.

W ostatnich dniach lipca zaczęły jednak nadchodzić niepokojące wieści w związku z zaostrzającą się sy-

Dalszy ciąg na str. 6



LESZEK RÓZGA — „Ziemia”

Być w nieustannej ofensywie

Od dwóch lat mówimy o jedności ekonomiki i kultury, starając się coraz skuteczniej tę słuszną zasadę wcielić w życie. Z drugiej strony za główny cel polityki kulturalnej uznaliśmy awans kulturowy obywateli poprzez rozszerzenie uczestnictwa środowisk społeczno-zawodowych w życiu kulturalnym. Dokonuje się więc istotne przewartościowanie pojęć na obszarze nauki, oświaty, kultury, powszechna staje się świadomość wzajemnego uwarunkowania materialnego i duchowego rozwoju społeczeństwa. Jest to jeden z problemów o zasadniczym znaczeniu.

Podejmujemy powyższe zadania nie tylko z myślą o „dzisiaj”, lecz jako stałe obowiązującą praktykę społeczną, również w dalszej perspektywie. Po wielu różnych doświadczeniach zdajemy sobie sprawę, że jest to jedyna droga, nie tylko zbudowania „Drugiej Polski”, ale stworzenia na Jej miarę socjalistycznego wzorca osobowego Polaka. Zadania te realizujemy w szerokim froncie, zgodnie z przyjętymi zasadami polityki kulturalnej partii. Jest w tym froncie miejsce dla działaczy partyjnych, twórców kultury, organizacji społecznych, działaczy pracujących na polu upowszechnienia kultury, związków zawodowych i administracji państwowej. Występuje tu wiele ogniw, z których każde ma do spełnienia rolę tak samo istotną i ważną.

Powstaje pytanie: czy środowiska twórcze naszego miasta są przygotowane do podjęcia tych zadań, które wynikają z zasad nowej polityki kulturalnej? Czy praca ideowa i działalność organizatorska związków twórczych gwarantuje realizację społecznego zamówienia? Odpowiedź może być jedna: tak, ale... Dlaczego to zastrzeżenie?

W sprawozdaniu Komitetu Łódzkiego na Konferencję czytamy: „Zadania teatru, literatury, plastyki, krytyki kulturalnej — jako składo-

we elementy życia ideowo-artystycznego miasta — były niejednokrotnie podejmowane przez łódzką instancję. Osiągnięliśmy w tym zakresie wyniki połowiczne, albowiem pewna opieszałość środowisk, brak wsparcia i należytej operatywności władz administracyjnych opóźniły procesy integracyjne — wspólne, konsekwentne współdziałanie na rzecz programu rozwoju kultury”.

Jest to ocena obiektywna, oparta na faktach, albo raczej braku wielu faktów, które już powinny mieć miejsce. Podobne są odczucia wielu towarzyszy ze środowisk twórczych, m. in. środowiska literackiego, które znam najlepiej.

W ocenie możliwości środowisk twórczych w porównaniu ze społecznymi efektami byłbym ośmielsze bardziej krytyczny. W okresie ostatnich dwóch lat te możliwości były naprawdę duże, był odpowiedni klimat, a nawet wiele inspiracji ze strony władz. Były inicjatywy indywidualne, działaczy — twórców. A jednak mamy odczucie, że niektóre środowiska trochę przedrzemylały ten okres. Pojawily się też tendencje, że jeśli nie mamy odpowiedniej do potrzeb bazy materialnej kultury, to trzeba czekać aż ona powstanie. Prawdą jest, że mamy na tym odcinku znane powszechnie braki, których nie zlikwidujemy w obecnej

5-lacie. Ale również prawdą jest, że jesteśmy dość daleko od pełnego wykorzystania tej bazy, którą posiadamy. Szeroko pojmowana działalność kulturowa ma bowiem tę charakterystyczną cechę, że o jej powodzeniu i efektach decyduje głównie ludzka inicjatywa, pomysłowość, konsekwencja, decyduje, krótko mówiąc, człowiek. O tym stale i przede wszystkim powinniśmy pamiętać. Sprawa bazy materialnej kultury została przez nasze instancje podjęta. Wiemy, że wkrótce w Łodzi odbędzie się kolegium Ministerstwa Kultury, a za kilka miesięcy plenum KC poświęcone przyjęciu kompleksowego programu działania w tym zakresie, z myślą o dalszej perspektywie. Nie wątpię, że te plany staną się faktami, należałoby przestać trochę bezradnie dreptać w miejscu.

Z drugiej strony, chociaż to może zabrzmieć niekonsekwentnie, chciałbym przypomnieć niektóre postulaty środowisk, których realizację należałoby przyspieszyć. Mam na myśli głównie postulaty „pozainwestycyjne”.

O utworzeniu Zespołu Filmowego w Łodzi mówi się od dawna, gdyż są ku temu wszystkie niezbędne warunki: Sądzę, że już najwyższy czas, by Ministerstwo Kultury i Sztuki podjęło pozytywne decyzje, by wyjść na przeciw programowi opracowanemu przez łódzkie środowisko filmowe. Koncepcje łódzkich filmowców są zbliżone z celami ideowo-wychowawczymi, nakreślonymi przez VII Plenum KC naszej partii. Chęć oni tworzyć dzieła współczesne, z myślą o masowym odbiorcy, zerwać z dotychczasowymi „praktykami” uciekania od istotnych problemów naszej współczesności. Sądzę, że w tym robotniczym mieście, pod ciśnieniem atmosfery pracy, tradycji, mają szansę powstawać dzieła ideowe, zaangażowane, znaczące.

Jest w Łodzi problem „Miesięcznika”, czym żywo zainteresowane są środowiska naukowe, literackie, plastyczne i inne. Periodyk, o niekoniecznie wysokim nakładzie, mógłby stać się miejscem integracji wielu środowisk twórczych, miejscem inicjatyw, prezentacji, wymiany myśli, stworzyłby większą możliwość oddziaływania na środowiska twórcze socjalistycznej ideologii. I co równie ważne — stworzyłby warunki do pełniejszego wykorzystania potencjału intelektualnego tych środowisk, a jak wiadomo, nie zrealizowane możliwości, rodzą napięcia i frustracje.

Jedynym tygodnikiem społeczno-kulturalnym „Odgłosy”, mimo planowanego od bieżącego półrocza wzrostu objętości — jest redagowany z myślą o bardziej masowym odbiorcy i nie może podjąć się zadań we wspomnianym zakresie. Zdać sobie sprawę, że powołanie nowego tytułu nie jest sprawą prostą, ale po zlikwidowaniu kwartalnika „Osnowa” pozostała biała plama na kulturalnej mapie.

Obserwując politykę repertuarową teatrów w bieżącym sezonie, trzeba z pewnością niepokojem stwierdzić, że ekonomiczna swoboda dana teatrom (dodajmy dla jasności — rzecz sama w sobie słuszną) niekorzystnie odbija się na poziomie ideowo-artystycznym ich działalności. W mieście, gdzie kiedyś działał robotniczy teatr Wandurskiego (ale i tu, gdzie w ostatnim dziesięcioleciu przyzwyczajono widzów do ambitnego repertuaru) także wątpliwości muszą zabrznieć jako sygnał ostrzegawczy.

Przed kilkoma tygodniami odbyło się spotkanie twórców z całej Polski z budownictwem Portu Północnego. Wiadomo, czym będą dla kraju te wielkie budowle socjalizmu jak Port Północny i huta „Katowice”. Chodzi o to, by nasze sukcesy w budownictwie, sukcesy w sensie materialnym, znalazły odbicie w świadomości i

wyobraźni narodowej, kształtowały dumę i patriotyzm, wpływały na psychikę ludzką i osobowość. Sojusz ludzi pracy i sztuki jest tu niezbędny dla jednej i drugiej strony. Samej sztuce daje przede wszystkim nową jakościowo szansę społecznej akceptacji, szansę autentycznej obecności wśród mas. Jakim echem odbiło się to spotkanie w naszym mieście? Początkowo wiele się o tym mówiło i pisało. Ostatnio problemy te nie wychodzą na forum publiczne poza związki twórcze.

Można mieć jednak nadzieję, że po niedawnym spotkaniu aktywu kulturalnego z udziałem tow. Jerzego Chabelskiego, sprawy te przybiorą kształt bardziej konkretny w postaci opracowania środowiskowych planów działania. Chodzi tu zarówno o sprecyzowanie działań doświadczeniowych (np. jak w artystycznym kształcie uchwycić obraz dynamicznych przemian, jakim podlega nasze miasto), jak również podjęcie prac, mających wymiar perspektywiczny i kompleksowy — w odniesieniu do zjawiska, które możemy skrótowo nazwać „sojuszem pracy ze sztuką”.

Przytoczę dla przykładu próby podjęte przez Związek Literatów Polskich: zadanie zacieśnienia kontaktów pisarzy z zakładami pracy. Tu chyba można być optymistą. Chcemy, żeby przedysponowani do tego pisarze na stałe związali się określonymi zakładami. Pisarz — społecznik może bowiem wiele pomóc, np. w pracy gazety zakładowej czy radiowej, w działalności biblioteki czy domu kultury, pośredniczyć w spotkaniach z innymi twórcami, w doborze repertuaru dla zespo-

łów amatorskich. A jednocześnie dla samego siebie wynieść z tych kontaktów na co dzień korzyść największą — znajomość życia, ich autentycznych problemów. Myślę, że przy poparciu POP, rad zakładowych i dyrekcji dużych zakładów pracy można by na tym polu wiele osiągnąć.

Zadanie — ludzie sztuki bliżej współczesności, bliżej człowieka pracy — nie może się obejść bez udziału i pomocy środków masowej informacji: prasy codziennej, telewizji, radia. Popularyzowanie istotnych osiągnięć twórców, upowszechnianie najlepszych wzorców wspomnianego sojuszu sztuki i pracy, można osiągnąć głównie tą drogą. Niestety to „pośrednictwo” nie wygląda najlepiej, mówiąc ogólnie. A warunki ku temu uległy ostatnio zasadniczej poprawie. Np. gazety codzienne zwiększyły swoją objętość (odpada więc argument o braku miejsca), a wielu twórców na spotkaniu z przedstawicielami redakcji gazet codziennych podjęło konkretne zobowiązania. Jak się wydawało, uczyniono istotny krok na drodze wzajemnego zbliżenia, ale efektów nie widać. Dlaczego?...

Z przedstawionych skrótowo kilku zaledwie problemów wynika, że czeka środowiska twórcze wiele pracy, zadań nietrywialnych i nieprostych. Wiele z nich przy pomocy łódzkiej instancji partyjnej jasno wytyczono, nad innymi musimy się jeszcze zastanowić. Trzeba będzie przewyżyczyć jeszcze pewną inercję w działaniu i myśleniu, podnieść zarówno temperaturę dyskusji, pryncypialność krytyki artystycznej, jak i poziom pracy ideowo-wychowawczej w środowiskach i poprzez środowiska ludzi kultury.

Żyjemy w twórczym czasie i musimy mu dotrzymać kroku, być w nieustannej ofensywie.

JERZY WAWRZAK

Ze świata

Ostatnie informacje prasowe o starcie statku kosmicznego „Interkosmos — Kopernik 500” zaskarżają na uwagę w dziale komentarzy międzynarodowych. Ten eksperyment kosmiczny przygotowany bowiem został wspólnie przez naukowców radzieckich i polskich i jest oczywistym dowodem współpracy naszych krajów. Wprawdzie „Kopernik — 500” jest już dziewiątym satelitą, będącym wynikiem współpracy krajów socjalistycznych w zakresie badania właściwości fizycznych przestrzeni kosmicznej, jednak tym razem udział Polski jest znacznie wyższy — radziecki satelita wyposażony został w polską aparaturę naukową. Jest zatem wspólnym dziełem radzieckich i polskich naukowców.

Start statku „Kopernik — 500” zbiegł się z 28 rocznicą podpisania Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy Powojennej między Polską i Związkiem Radzieckim. O jego historycznym znacze-

niu nie trzeba nikogo przekonywać. Przypomnijmy tylko, że przy bezpośrednim udziale ZSRR zbudowaliśmy ok. 600 obiektów przemysłowych, a Huta im. Lenina pod Krakowem oraz huta stali „Katowice” symbolizują ciągłość współdziałania. Realizacja programu społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, przyjętego przez VI Zjazd Partii, w znacznej mierze opiera się na możliwościach, które wynikają z tego współdziałania. Układ polsko-radziecki z 1945 roku należy do najważniejszych aktów politycznych naszego państwa. Z niego też zrodziła się możliwość uczestniczenia Polski w realizacji programu kosmicznego.

Amerykański sekretarz stanu — Rogers przekazał przed kilku dniami do Kongresu doroczny raport w sprawie polityki zagranicznej. Dokument ten zawiera, aby poświęcić mu nieco miejsca nie tylko z uwagi na zawartą tam ocenę sytuacji światowej i

zamierzenia polityki USA, lecz także amerykańskie niepokoje w związku z postępującą integracją krajów EWG. Ale o wszystkim po kolei...

Na linii Zachód — Wschód raport stwierdza postępujące odprężenie. Po konsultacjach w Helsinkach, a w ich następstwie konferencji europejskiej, Stany Zjednoczone nie oczekują „dramatycznej transformacji stosunków między Wschodem a Zachodem”, ale ich poprawy. Mniej optymistycznie raport ocenia rozmowy w Wiedniu, które — zdaniem Rogersa — nie przyniosą rychłych i łatwych porozumień. Negocjacje dotkną jednak spraw najważniejszych.

Dość dużo uwagi poświęcił amerykański sekretarz stanu problemowi bliskowschodniemu. Stwierdził on wyraźnie, że USA nie widzą innej drogi do pokoju niż tylko podjęcie bezpośrednich negocjacji między krajami arabskimi a Izraelem. Jest to propozycja, dawno już przez Egipt odrzucona. Nie może być bowiem żadnych bezpośrednich rozmów przed wycofaniem się agresora z okupowanych terytoriów a-

rabskich. Przed spełnieniem tego warunku, zaleconego przez Radę Bezpieczeństwa, rozmowy są bezcelowe — mogłyby prowadzić tylko do częściowych rozwiązań.

W sprawie Dalekiego Wschodu Rogers wypowiedział się z nadzieją na rozwiniecie stosunków z ChRL. Podkreśla jednakże, że zobowiązania traktatowe USA wobec Tajwanu pozostają w dalszym ciągu w mocy.

Podstawowa część raportu dotyczy stosunków USA z Europą Zachodnią. Najpierw Rogers stara się uzasadnić konieczność dbania przez NATO o stan swoich sił zbrojnych, potem wyjaśnia, dlaczego partnerstwo musi oznaczać równomierne rozłożenie ciężarów militarnych, a następnie nie szczępli krytyki pod adresem krajów EWG.

Co szczególnie niepokoi Stany Zjednoczone? To, że polityka rolna EWG hamuje amerykański eksport rolny oraz że kraje EWG zawierają wiele specjalnych porozumień z krajami trzecimi.

„Stany Zjednoczone — czytamy w raporcie — stoją na stanowisku że usprawiedliwione potrzeby handlowe krajów rozwijających się

mogą być zaspokajane bez ustanawiania systemu specjalnych preferencji i bez szkody interesom amerykańskim”.

Tak więc Wspólny Rynek, nigdy nie cieszący się dużą życzliwością Stanów Zjednoczonych, doczekał się teraz otwartej krytyki. Rogers przyznał, że częstokroć godzi on w interesy Stanów Zjednoczonych. Latwo mogła Czytelnicy domyślić się, jaka posypała się po tym lawina komentarzy w prasie zachodniej!

Stany Zjednoczone w konkurencji z Zachodnią Europą mają po swojej stronie duży punkt przewagi — wygrały rundę monetarną, dwukrotnie devaluując dolara i zapewniając sobie tym samym dogodniejszą pozycję handlową. — Ale — jak wyczytać można z raportu Rogersa — nie zadowolona to ich. Stosunki z EWG wchodzić więc w nową fazę, której ważnym etapem może być jesienią br. konferencja GATT, czyli państw uczestniczących w Układzie Ogólnym w sprawie Handlu i Taryf Celnych.

Ostre konferencje USA — EWG z pewnością nie grożą gwałtownym rozpadem so-

juszu atlantyckiego. Nadwątlają go jednak bardzo.

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu odnotujemy Plenum KC PZPR, które podjęło uchwałę o międzynarodowej działalności KC PZPR oraz dwie wizyty, które świadczą o ciągłej wysokiej aktywności Polski w stosunkach międzynarodowych. Chodzi tutaj o wizytę przewodniczącego Rady Państwa — H. Jabłońskiego na Kubie oraz wcześniejszą ministra spraw zagranicznych — S. Olszowskiego w Danii. O pierwszej będziemy jeszcze pisać, z przebiegu drugiej zwrócić uwagę na zapowiedzianą współpracę polsko-duńską w dziedzinie ochrony Bałtyku. Nad jego brzegami mieszka ok. 140 mln ludzi, dla których morze jest jednym ze źródeł bogactwa. Niestety — uczeni sygnalizują obumieranie morza w szybkim tempie. Potrzebny jest więc współdziałanie wszystkich siedmiu krajów, które leżą nad Bałtykiem w ochronie jego wód.

W. SŁAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

BERLIN 1945

Dalszy ciąg ze str. 1

linie. Moje wiersze ukazywały się na kolumnach żołnierskiej gazety, a dopiero później w prasie centralnej.

Nie wiem czy kiedykolwiek jeszcze w jakiegokolwiek armii byli oficerowie

pierwszej rangi, autor „Tragedii optymistycznej” i innych sztuk, Wiszniewski spał po trzech dobach, które spędził w nacierającym batalionie.

— Jedziemy do Czujkowa.

— Tak jest. Wiszniewski zerwał się, niedbale zalał czarną czapkę. Wyszliśmy do sa-

załego domu. Raczej wątpliwe, czy można było coś zobaczyć z jego okien, raczej tylko z dachu. Ale obok, na sąsiednich ulicach toczyła się bitwa. Czujków wyszedł po nas. Miał wtedy 45 lat, ale stanowisko przełożonego i legendarna sława czyniły go w naszych oczach niemalże patriarchą.

Łączyła mnie z Czujkowiec stara znajomość. Jesienią 1939 roku w mieście Brześciu spotkaliśmy się po raz pierwszy z sobą. Potem los złączył nas w Stalingradzie. Czujków dowodził armią, rozstawioną swoim oporem nad brzegami Wołgi.

Później, przez wszystkie lata spotykaliśmy się niejednokrotnie, a począwszy od wkroczenia na terytorium Polski niemal bez przerwy znajdowałem się w armii, którą dowodził Czujków. Nic więc dziwnego, że pod Berlinem Czujków wzywał mnie często, podpowiadając, w jaki rejon trzeba niezwłocznie pojechać, aby być świadkiem ważnego boju.

złoty, żeby się Niemcy nie najedli strachu.

Bo rzeczywiście, wygląd Blanter mógł każdego wystraszyć. Wilgotna berlińska wiosna ukwieciła jego policzki dwoma symetrycznie rozmieszczonymi czyrakami. Kompozytor nie mógł się golić, dziesięciodniowy zarost sterczał jak las, otaczający wulkan.

Do rokowań przygotowano pokój, służący kiedyś jako jadalnia. Obiadowy stół, kredens, szafka pod radio. Na ścianie dość udana kopia obrazu „Ostatnia wieczerza”.

Zwróciłem uwagę dowódcy armii na ten obraz. „To nic — powiedział — przy naszym stole zdrajców nie będzie”.

Popatrzyłem na zegarek. Była 3.55 rano 1 maja. W korytarzu rozległy się kroki. Czujków zaproponował obecnym generałom oraz nam, aby usiąść.

Wprowadzono niemiecką delegację. Jako pierwszy wszedł generał Krebs — w drzwiach towarzyszący mu niemiecki żołnierz zdjął z

Duchanow, Siemionow, Proinin, ale my z Wiszniewskim, także zaliczeni do tej wysokiej Rady, zmieszaliśmy się. Pozwolę sobie zacytować początek swoich notatek.

Krebs: Ja, generał Krebs, zostałem upoważniony do złożenia radzieckiemu dowódcy oświadczenia niezwykłej wagi.

Czujków: Ja, generał broni, Czujków, zostałem upoważniony przez marszałka Żukowa do wysłuchania pana.

Krebs: Powtarzam, że moje oświadczenie będzie wyjątkowo ważne i szczególnie poufne.

Czujków: Proszę.

Krebs: Informuję o tym pierwszego nie — Niemca. 30 kwietnia Hitler zakończył życie samobójstwem.

Czujków: Proszę wybaczyć, wiadomo mi o tym.

Krebs oszołomiony. Wyniosła jego poza znikła zupełnie, jakby wypuszczono z niego powietrze. Zwiądl i zmalal.

Czujków prosi, aby przyniesiono armijną gazetę —

my także młodego tłumacza, oficera Matusowa.

Czwarty Niemiec, szeregowiec siedzi w korytarzu przed otwartymi drzwiami. Ma na kolanach zieloną teczkę; rozpięta, widzę starannie złożone i zawinięte w celofan kanapki. Widocznie delegacja nie liczyła u nas na poczęstunek. Krebs wyjmując teczkę dwa arkusze papieru. Siedzę ukosem do niego i dzięki wadze swych oczu — dalekowzroczności — swobodnie czytam na odległość. To niewątpliwie mandat w języku rosyjskim i niemieckim. Oba egzemplarze sygnowane dwoma podpisami: Josefa Goebbelsa i Martina Bormanna.

Przepisuję do swego notetu treść tego dokumentu. „Powiadamy wodza narodu radzieckiego, że dziś o 15.50 Fuehrer samowolnie opuścił życie”.

Krebs przedstawia swoje pełnomocnictwo. Wygląda to następująco: generał artylerii, biegle, jakby mówił bez kartki, wygłasza tekst po niemiecku, a jego tłumacz, major chemicznej służby — mówi po rosyjsku.

Zgodnie z rozporządzeniem Fuehrera wszystkie atrybuty władzy zostały przekazane wielkiemu admirałowi Doenitzowi oraz kanclerzowi Rzeszy, Goebbelsowi i sekretarzowi partyjnej kancelarii, Bormannowi. Zostałem upoważniony przez Goebbelsa i sekretarza Bormanna do prowadzenia rokowań z wodzem Związku Radzieckiego. Rokowania te mają na celu wyjaśnienie stosunków między narodem niemieckim i Związkiem Radzieckim, znalezienie fundamentów do rozmów pokojowych dla szczęścia obu narodów, które poniosły największe ofiary w tej wojnie.

Krebs przekazał papiery Czujkowi. Ten puścił je w obiegu między obecnych. Kiedy dokument został przeczytany, nastąpiła cisza. Krebs chciał nadać tej chwili podniosły charakter, podkreślić historyczne znaczenie swej misji. Wyjął spod brwi monokl, wyprężył się. Radziecy oficerowie zapalili papierosy. Ale zupełnie zapomnieliśmy, że za kredensem mężczy się biedny mój współautor, Matwiej Blanter.

Kompozytor widocznie nie miał już siły ukrywać się dłużej. Nad niskim kredensem ukazała się najpierw jego posiwiała czupryna, później twarz z zaognionymi czyrakami, na obu niegolonych policzkach, później marynarka, zakurzona i rozzerwana w ramionach. Głazął podbródek i ogładał pokój, oświetlony jaskrawym światłem małej lampki, podłączonej do akumulatora.

Krebs dostrzegł tę przerażającą postać. Twarz Blanter'a ogromnie przypominała karykatury radzieckich politruków, przedstawiane na faszystowskich ulotkach. Cała doniosłość oświadczenia Krebsa i jego poza w mgnieniu oka przepadły.

Obawiałem się, że teraz Czujków wybuchnie, rozkaże Blanterowi wyjść. Ale dowódcy armii wystarczyło poczucie humoru, aby mrugnąć do mnie, Blanter znowu usiadł i kredens ukrył go przed spojrzniętami wszystkich siedzących przy stole.

(c. d. n.)
**PRZEŁOŻYŁ:
KONRAD FREJDLICH**



Fot. Archiwum

— poeci. Wydaje mi się, że jest to zjawisko charakterystyczne tylko dla Armii Radzieckiej. Było ich u nas na froncie przeszło stu. W kwietniu 1945 roku na I Front Białoruski przybyli jeszcze także kompozytorzy — Tichon Chrennikow i Matwiej Blanter, autor słynnej „Katuszy”.

Nocą poprzedzającą 1 maja siedzieliśmy w piwnicy zburzonego domu, w rejonie berlińskiego Adlershofu i pisaliśmy z Blanterem pieśń o zwycięstwie. Zostałem wezwany do telefonu przez Wasyła Czujkowa, dowódcę 8 gwardyjską armią.

— Przyjeżdżaj na punkt obserwacyjny. Będzie coś interesującego dla ciebie i Wsiewołoda Wiszniewskiego.

Obudziliśmy korespondentów „Prawdy”, Wiszniewskiego. Była druga w nocy. Pisarz — bohater, kapitan

mochodu. Blanter wybiegł za nami, kiedy już włączyłem rozrusznik. Był w cywilnej marynarce, porządnie wymiętej od pelzania pod ostrzałem na berlińskich ulicach. Nie można było zobaczyć jego twarzy.

Zdecydowaliśmy na własną odpowiedzialność i ryzyko zabrać Blanter'a z sobą. Pojechaliśmy, przecinając na ukos lotnisko Tempelhof. Dookoła piętrzyły się czarne strazydła, samoloty, słabo rozświetlone ogniem płonącego miasta. Wiele z nich zostało trafionych na ziemi i niezdarnie walają się na pasach startowych.

W uliczce, sąsiadującej z Tempelhofem, znajdował się punkt obserwacyjny dowódcy armii, Czujkova. Właściwie punktem obserwacyjnym nazywano mieszkanie na półpiętrze oka-

zającego nam.

— Zaraz przybędzie delegacja od Hitlera, powinniście notować wszystko szczegółowo. Nie ma stenografistek, a sprawa jest ważna. Właśnie, a propozycja Hitlera, już jakaś podziemna radiostacja „Reostal” zawiadomiła, że popełnił on samobójstwo.

Czujków mówił to wszystko bardzo spokojnie. Nagle dostrzegł wymizerowaną postać cywila, zupełnie nie pasującą do atmosfery punktu obserwacyjnego armii.

— A Blanter co tutaj robi? Czy przychodził zapisać muzykę artylerii?

Trochę wystraszyliśmy się, znając gwałtowne usposobienie dowódcy armii. Ale Czujków był w tamtej chwili wielkoduszny.

— Dobrze. Odsunęliśmy kredens i schowamy kompo-

zycji ramion płaszcz. Krebs miał nieco ponad 40 lat. Łysy, szczupły, w mundurze ściągniętym pasem, trzymał się prosto, po wojskowemu.

Za generałem postępował pułkownik i major.

Nie wstaliśmy ze swoich krzeseł. Usiadł także Niemiec, przedstawiający się — naczelnik generalnego sztabu wojsk lądowych, generał artylerii, Hans Krebs. I od razu oświadczył:

— Prosiłbym, abym mógł początek rokowań prowadzić z panem w cztery oczy.

— Ze mną jest Rada Wojenna — sucho odpowiedział Czujków i figlarnie spojrzął w kierunku dwóch pisarzy, sposobnych ołówki i notesy. W pokoju rzeczywiście znajdowali się członkowie Rady Wojennej 8 gwardyjskiej armii: Pożarski,

została w niej wydrukowana informacja z nasłuchu radiowego o śmierci Hitlera. Krebs długo, do znużenia, patrzył — w tamtej chwili, gdy dokonano nasłuchu, Hitler jeszcze żył. Ale później, całkiem niedawno, kilka godzin temu popełnił samobójstwo, 30 kwietnia o godzinie 15.50.

Siedzimy za owalnym, jadalnym stołem, pod obrazem „Ostatnia wieczerza”. Ze strony radzieckiej dziesięciu przedstawicieli, Niemców trzech: Krebs, pułkownik sztabu generalnego von Duffing i major służby chemicznej — tłumacz. Okazuje się, że jest z wykształcenia inżynierem i pracował przed wojną w Związku Radzieckim w charakterze specjalisty przy budowie dniewrowskiej elektrowni wodnej, gdzie nauczył się rosyjskiego. My ma-

stało się 84 powstańców. Doktora Dworzaczka skazano na śmierć. Karę tę zamieniono w wyniku aktu łaski namiestnika Królestwa Polskiego na 12 lat katorgi. Zestano go do Neroczyna na Syberii. Za udział w powstaniu zabajkalskim w 1866 roku zesłano Dworzaczka na daleką Północ, do Wilujska, gdzie zmarł na gruźlicę w 1868 roku.

Miejsce powstańczej bitwy pod Dobrą upamiętnia wzniesiony w 1933 roku (w 70 rocznicę bitwy) okazały pomnik nagrobny, zwieńczony białym apłatem. Na pomniku wyryto apłatem: „NIEWOLNYM BOHATEROM — WOLNYM RODACYM”. Pomnik szczęśliwie przetrwał hitlerowską okupację.

JERZY KLAMANN

Ustalony przez Tymczasowy Sztab Narodowy termin wybuchu powstania na noc z 22 na 23 stycznia 1863 roku, nie został dotrzymany. Akcje poszczególnych partii, mających najważniejszy do wykorzystania atut — zaskoczenie, nie dały spodziewanych rezultatów. Odparto w Płocku — przewidzianym na siedzibę Tymczasowego Rządu Narodowego — zbrojny atak powstańców.

Oddziałom z Ziemi Łęczyckiej, jako graniczącej z Wielkim Księstwem Poznańskim, przypadła z chwilą wybuchu powstania szczególnie ważne zadanie. Oddziały te miały przejmować transporty z dostawami broni z zagranicy, przerzucać wyszklonych ochotników z Francji, Włoch i Belgii. Tędy przybył

z Paryża dyktator Ludwik Mierostawski.

Członkowie Tymczasowego Rządu Narodowego już w drodze z Warszawy do Płocka dowiedzieli się o nieudanej próbie opanowania przez powstańców tego miasta. W Kutnie zmienili kierunek jazdy i 28 stycznia przybyli do Łęczycy, gdzie przeprowadzili rozmowy z cywilnym naczelnikiem powiatu.

Funkcję tę sprawował dr Dworzaczek, bardzo popularny w Łęczycy — wielki społecznik i patriotą. Rozmowy te znacznie przyspieszyły formowanie partii łęczyckiej, zbierającej się w lasach, w pobliżu wsi Dobra.

Z Piotrkowa Trybunalskiego wyruszyła rosyjska, silna grupa operacyjna w składzie dwóch rot piechoty i sotni kozaków,



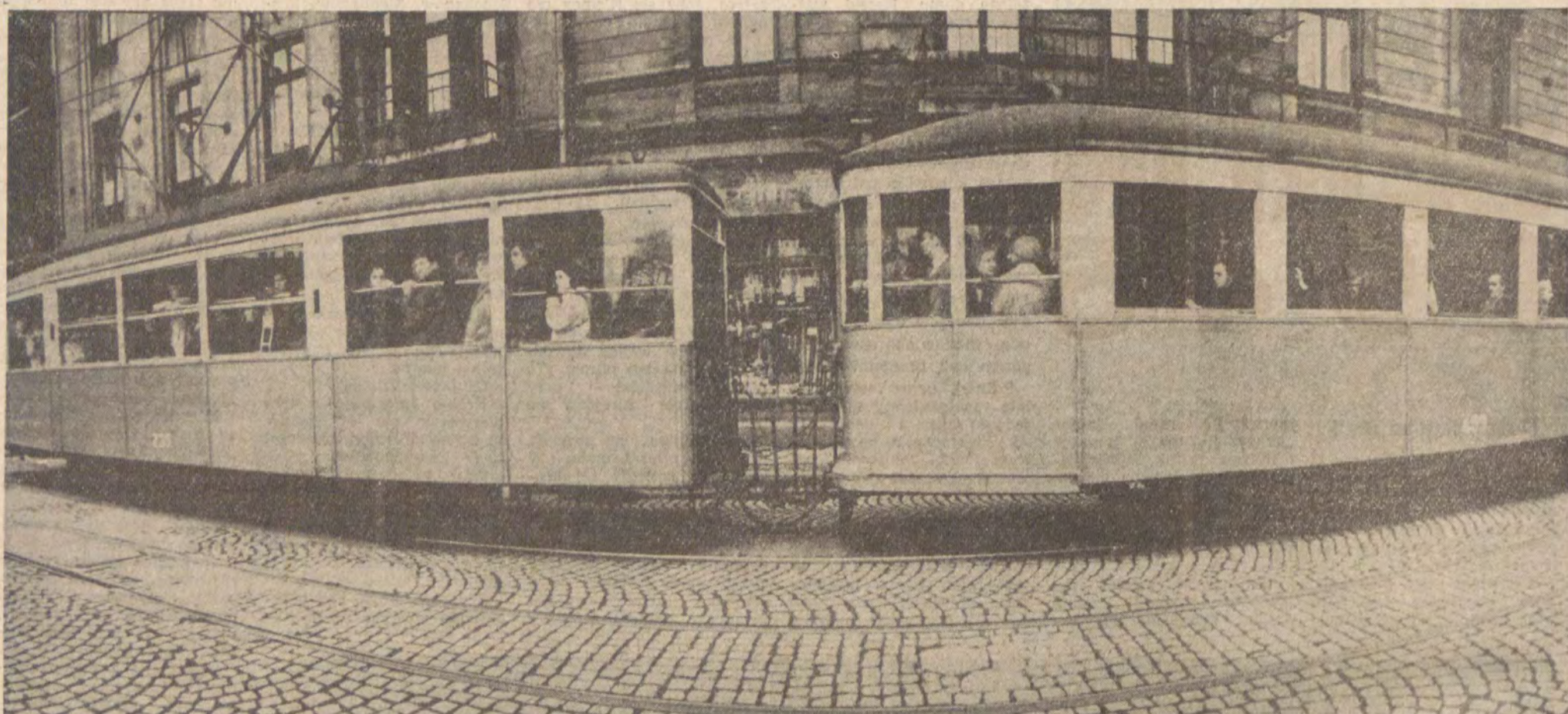
POWSTANIE STYCZNIOWE
W ŁÓDZKIEM

W ostatnich „Odgłosach” recenzjonował Pan „Biała zaraza”. Uprzejmie wyjaśniam, że w widoku tym gwałtem epizodyczną rolę ministra wojny — a nie Marszałka. Te rolę bowiem powierzono kol. Miroslawowi Szonertowi. Ponieważ znam również świetnie kol. kol. Józefowicza i Gloskowskiego, zaręczam, że rolę grał radcy-lekarsza nie Gloskowski, a Zb. Józefowicz. Wydaje mi się, że ta niezgodność krzywdzi moich przyjaciół i kolegów, co pozwalam sobie niniejszym sprostować.

Łączę wyrazy szacunku i miłe pozdrowienia.

Kazimierz Twiński

Od redakcji: Przepraszamy,



Fot. J. Mendychowski

Poznałem Go przypadkiem, który rządzi tym wszystkim, co nieprawdopodobne a jednak prawdziwe — i co wydarzyło mi się właśnie owego późnego, kwietniowego wieczoru...

Znałem pętlę tramwajową koto mostu na Pabianickiej? Tak — tę przy torach kolei obwodowej. Otóż to było właśnie tam. Wyszedłem, a właściwie wybiegłem z ul. Galileusza na mokry asfalt Pabianickiej — wpadając niemalże pod nadjeżdżającego akurata „Stara” z przyczepą. Odkroczyłem dosłownie w ostatniej chwili pchnięty w twarz falą wilgotnego powietrza i przepuszczając cały sznurzek osobowych wozów patrzyłem ze złością, jak na oddalonej o jakieś 200 metrów pętli, ostatnia tego dnia „Jedenastka” bierze powoli zakręt i wyjeżdża na prostą.

Nie zdąży — psiarew! Jeszcze ta „Warszawa” — no — teraz! Ostrym sprintem ruszyłem przez jezdnię na spotkanie rozpędzającego się coraz szybciej tramwaju, przymierzając się do pierwszych, na szczęście, uchylonych nieco drzwi na pierwszym pomoście drugiego wagonu. Były tuż, tuż... I wtedy — kiedy sięgałem prawie ręką do poręczy — zobaczyłem przed sobą wykrzywioną przerażeniem twarz jakiegoś faceta. Niech pan nie skacze — wrzeszczał — błagam pana...! Niech pan...

— Miejsce — zrób pan do cholery miejsce! — wrzasnąłem zdyszany, potykając się na torowisku, a ten palant — zamiast pomóc mi, podać rękę czy cofnąć się chociażby, do tyłu — tkwił w drzwiach jak słup soli, z obłąkami wywalonymi na wierzch galami.

Tramwaj nabierał pędu, jako że motorniczy postanowił dać mi wyraźnie do zrozumienia, iż wsiadać należy wyłącznie na przystanku, a ja — zziębnięty i jednocześnie siny z wściekłości — czułem, że przez tego tam... uda mu się to na pewno. Trudno mi było jednak od razu stanąć. Biegłem więc z rozpędu nadal, i kiedy zobaczyłem obok siebie mijające mnie drzwi drugiego pomostu — skoczyłem liżąc, że uda mi się może uchwycić poręcz i trafić nogą na stopień. Moje nadzieje spełniły się jednak tylko połowicznie, jako że szarpnięty zostałem tak gwałtownie, iż tylko strach przed tym, co mogłoby się stać, gdybym tak spadł przy tej szybkości na torowisko, pozwolił mi utrzymać kurczowo zaciśnięte na poręcz palce. Natomiast w nogach straciłem władzę zupełnie

— czując, że je mam dopiero w momencie, kiedy rąbnąłem obu gołeniami o kant stopnia. Musiałem zawyć z bólu i to chyba głośno, bo otworzyły się drzwi i przy pomocy kogoś stojącego na pomoście wczoiłem się jakokoś do środka. Było mi już wtedy wszystko jedno i nie dziwiłbym się wcale, gdyby tak konduktor z motorniczym do spółki zdecydowali się na najbliższym przystanku wyrzucić mnie z tramwaju na zbitą twarz, przez litosć tylko nie wolając milicjanta. Nic się jednak takiego nie stało. Tramwaj gwałtownie podjął chwalebne zobowiązanie, że „już nigdy” — usłyszałem głos konduktora:

— Naprawdę nie ma kto po panu płakać? Nogi masz pan za długie — co? — I nie czekając aż okaże skruchę dodał — za bilet pan płacisz?

— Płacę, płacę — wysapałem przychodząc powoli do siebie i rozglądając się po wagonie. Poza mną i konduktorem nie było w nim nikogo. Zaraz, zaraz... A tamtem facet z pomostu? Ten drań, przez którego o mało nie wyglądałbym teraz jak worek pełen pogruchotanych kości? Ten...

— A w ogóle to idź pan i podziękuj człowiekowi, że panu życie uratował — odezwał się nagle konduktor — ja bym tam pana nie wyciągał. Takich, co to im się za bardzo spieszy to szpital najlepiej rozumu uczy. Niech skaczą...

Nie miałem co piskować. Trudno było zaprzeczyć, że udało mi się tym razem wyjątkowo. Siedziałem więc na przednim pomostu z mieszanymi uczuciami: obsztorcowałem faceta, że przeszkodził mi skoczyć kiedy tramwaj jechał wolniej czy też wyraził mu wdzięczność, że zdołał tak szybko przebiec na tylny pomost i wciągnął mnie jednak do środka. Ale to nie ja, lecz on zaczął mówić pierwszy. I wszystko wyglądało na to, że się usprawiedliwia.

— Nie się panu nie stało? — zapytał z nieudawaną troską w głosie. — Gdybym wiedział, że pan jednak zdecyduje się skoczyć, pomógłbym panu wcześniej, choć i tak mogło się to skończyć tragicznie. Naprawdę musiał pan aż tak się spieszyć? To przebież...

— Owszem, głupota — przyznałem samokrytycznie. — Ale sam pan wiesz jak to bywa — mądry Polak po szkodzi. Wprawdzie nie mi się nie stało, jednak potraktuję to jako naukę. W końcu naprawdę mogłem

TWOJ ANIOŁ STROZ



Fot. A. Różycki

się dostać pod koła lub odpaść od tej cholernej poręczy, a wtedy...

— Niech pan przestanie — proszę... Lepiej o tym nie myśleć...

— Nie ma co ukrywać — mówiłem dalej — zamiotłoby mna solidnie, ale — sam pan słyszał co mówił konduktor — oduczyłoby to mnie skutecznie pospiechu i brawury. Kto wie może niepotrzebnie pan się wirać? Zresztą gdyby nie pan wskoczyłbym dużo wcześniej i bez większych kłopotów na przedni pomost. Muszę przyznać, że szlag mnie trafił, kiedy tak gonilem ten tramwaj jak głupi, a pan skutecznie tarasował mi wejście.

— Ja nie mogłem! — wybuchnął tyleż gwałtownym co nie-zrozumiałym dla mnie protestem — nie mogłem dopuścić, żeby znowu...

Urwał równie nagle jak zaczął i odwrócił się do okna. Tramwaj gwałtownie przyspieszył, nasz wagon dygotał i kiwał się jakby chciał koniec-

nie wyskoczyć z szyn, a myśmy stali tak obok siebie w zgodnym milczeniu — oby ludzie, których tylko przypadek zmusił do powiedzenia czegoś więcej niż: „pan wysiada...”

A jednak coś go gryzło, bo w pewnym momencie — kiedy oparłszy się mocniej na lewej nodze poczułem w niej pulsujący, młający ból i odwróciłem się z myślą, by usiąść wreszcie, a nie stać tu przy nim — odezwał się prosząco: — Chwileczkę, chcę panu coś wyjaśnić...

— Wyjaśnij? — zapytałem zdziwiony.

— Tłak — powiedział jakąś się i spojrzął mi w twarz, jakby chciał się upewnić, że warto, że będzie mówić do kogoś, kto chce go słuchać choć — Bogiem a prawdą — marzyłem coraz bardziej, żeby usiąść i edrzeć się w końcu od tego dziwnego jegomościa. On jednak uznał widać, że patrzę na niego ze skupieniem i uwaga, bo nie tłumacząc się więcej zaczął mówić:

— To było jakieś trzy miesiące temu... We wtorek. Dochodziła godzina osiemnasta, a ja wracałem tramwajem od znajomych. Było sporo ludzi. Stałem na pomoście jak dziś i wtedy, na którymś przystanku, wsiadł na pomost młody, może osiemnastoletni chłopak. Wsiadł i bezceremonialnie wepchnął się w kąt gdzie stałem — zastaniając mi widok przez okno. Stał, trzymał w ustach kawałek zapalki, który od czasu do czasu prześwadywał językiem z jednego kącika ust w drugi, nie sobie nie robił z tego, że patrzyłem na niego z wyraźną niechęcią i nie wyglądało na to, że płacenie za bilet uważa za swój obywatelski obowiązek. „A to beczelny gówniarz — pomyślałem — zaraz dam mu nauczkę i napędzę mu nieco strachu”. Wie pan ile się teraz pisze o gapowiczach i kontrolerach w ewyilu. No więc postanowiłem udąć takiego i zmusić chłopaka, żeby ruszył się wreszcie do kasownika. Oczekując chwilę i położyłem mu dłoń na ramieniu. „Pański bilet, młody człowieku — powiedziałem surowo — jedź pan już drugi...”. I zanim zdążyłem dokończyć zdanie, zanim zdążyłem zrobić cokolwiek — chłopak zwinął mi się pod ręką jak sprężyna, odepchnął mnie tak, że poleciałem całym ciężarem ciała do tyłu, a sam — szarpnawszy drzwi — jednym sussem wyprysnął z wagonu. Z tego co było potem pamiętam najbardziej okropny zgrzyt hamującego tramwaju, tumult, krzyk ludzi, histeryczny szloch jakiejś kobiety, czyjeś wołanie o motorniczego: „Ludzie, rozejście się, ludzie...”

— Nie pyta pan co się stało z chłopakiem? — przerwał i spojrzał na mnie wyczekująco — powiem panu, powiem — dodał, jakby chciał mnie upewnić, że nie muszę jednak go o nic pytać. — Zginął na miejscu. W momencie skoku uderzył prawdopodobnie w jakiś słupek, odbił się i wpadł pod koła. A ja uciekłem — słyszy pan. — Przeszedł już teraz panować nad sobą i chwycił mnie gwałtownie za ramię — uciekłem jak ostatnia szmata, bo... No bo co miałem robić? — powiedz pan, co miałem robić? Ukleknąć nad tym trupem i błagać: „Dziecko drogie, daruj — ja cię tylko chciałem przestraszyć...”

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nie wiem, czy wiedziałby wówczas ktokolwiek z was. Milczałem więc przelękając co chwila sline, żeby opanować ogarniające mnie coraz bardziej mdłości, a on już dużo ciszej mówił dalej:

— Początkowo myślałem, że zgłoszę się na milicję, powiem:

„Było tak i tak, zabawiłem się w kontrolera — chłopak się zabił — to moja wina...”. Ale co dalej? — myślałem — jeśli nawet mi uwierzą i nie potraktują mnie jak wariata, jeżeli mnie zamkną za nieumyślne spowodowanie śmierci... Właśnie — nieumyślne. Przecież ja naprawdę nie chciałem. Skąd mogłem przypuszczać, że on skoczy? A ja mam żonę i dziecko, w pracy jak najlepsze układy, lubią mnie, za dwa dni miałem mieć imieniny... No i tak już zostałem z tym wszystkim — w sobie. Nie mówiłem nic o tym zdarzeniu nikomu, nawet żonie. Na drugi dzień bałem się spojrzeć do gazety, żeby nie zobaczył przypadkiem, nie zapamiętał niechcący jego imienia i adresu. Nie chciałem żeby to mnie prześladowało całe życie. No bo co mogłem zrobić — postać rozdzielnie paczkę, pieniądze, iść do nich przeprosić...? Pan by to zrobił? Pomyślałem w końcu, że odpokutuję inaczej. Co tydzień, jednego popołudnia, jeżdżę jakimś tramwajem od krańcówki do krańcówki i pilnuję, czy ktoś nie chce wyskoczyć. Najbardziej lekceważą sobie życie młodzi. Faceli pod gazem też potrafią wylądować z tramwaju w pełnym błęsku jak gdyby nigdy nic. Więc się wtrącam, przeszkadzam, zatrzymuję, łapię za kołnierze, błagam: „Człowieku, nie skacz. Szanuj życie...”. To prawda, że nieraz już oberwałem od łobuzów, niejedną z tych, którym prawdopodobnie uratowałem nogi — zmieszał mnie z błotem, ale przecież nie mogę dopuścić, żeby na moich oczach ktokolwiek znowu...

— Rozumiem — przerwał mu — dlaczego jednak opowiedział pan to wszystko właśnie mnie? I to dzisiaj — pytałem coraz gwałtowniej. — Co się takiego stało? Czemu musiał się pan wypowiadać akurat przede mną?

— Nie wiem — odpowiedział po prostu — nie wiem. Pan wybacz, to jakieś... I nie kończąc zdania szarpnął drzwi wyskakując niezdarnie w ciemność. Dojeżdżaliśmy do przystanku. Tramwaj jechał wolno — widziałem go jak biegnie przez jezdnię — nieostrośnie, nie-uważnie, nie słysząc swojego wołania:

— Chwileczkę — to przecież jeszcze nie krańcówka...

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK



HISZPANIA

Wydawca „Iberyjskich wędrowek“ opowiada już w najbliższym czasie „Madryckie ABC“. Póki co jednak, Jan Zakrzewski napisał książkę o Hiszpanii, nie tylko o jej stolicy. Jest to jedyną publikacją utrzymaną w dobrym bedekerym stylu, mającą ambicje przekazania czytelnikom podstawowej wiedzy o Hiszpanii współczes-

nej z koniecznym tłem historycznym.

W książce Zakrzewskiego znajdziemy wszystkie tradycyjne „hiszpańskie“ tematy, a więc corrida i Salvador Dali, obrazek współczesny i historia Gibraltaru... A potem reporterskie monografie prowincji i miast o nazwach dźwięcznych jak hiszpańska muzyka. Walencja i Toledo, Sewilla i Malaga, Katalonia i La Mancha.

Książka jest ciekawa, bo przecież niewiele mamy publikacji o Hiszpanii, widzianej oczyma współczesnego polskiego reportera. Jest więc w niej orszak nowości i egzotyki, jest odwołanie się do naszych tradycyjnych wyobrażeń. Jest także mnóstwo ciekawych informacji, potoczna narracja i dowcip. Najlepszy dowcip sprawił jednak autorowi przyrządek, gdy szukając restauracji, trafił z żoną i synem do lokalu, który w efekcie okazał się... domem publicznym. Rodziny obiad w zamknięciu — taka rzecz nie zdarza się często.

Reportaże z egzotyki Hiszpanii, wydane przez „Iskry“, mają tylko jedną wadę: brak fotografii. Wydaje się, że książka reporterska, zwłaszcza w przypadku reportażu zagranicznego, nie może się obejść bez materiału ilustracyjnego. Fotografia bowiem przydaje książce walorów autentyczności i zwiększa atrakcyjność publikacji. Rozumiem także, że zwiększa jej cenę, ale dla tych, 10 tysięcy amatorów hiszpańskich wrażeń nie stanowiłoby to pewno problemu.

Jan Zakrzewski „Iberyjskie wędrowki“. Wyd. „Iskry“ 1973, cena 13 zł.

WSPOMNIENIA KAPITANA

Na tę książkę czekaliśmy od chwili pamiętnej konferencji prasowej, na której kapitan Andrzej Czechowicz zapowiedział spisanie swoich wspomnień z okresu pracy w RWE. Książka ostatnio pojawiła się na półkach księgarń i — oczywiście — wzbudziła zainteresowanie czytelników. Trzeba zresztą przyznać, że jest to pozycja udana. Czechowicz pisze prosto, nie bawi się w literaturę, operuje tylko faktami i własną pamięcią, nie wdaje się w nachalne moralizowanie ufając siusznio wymowie samych faktów.

Właśnie dlatego jest to książka przekonująca. Andrzej Czechowicz poszedł drogą jedyną, jaką może pójść pamiętnikarz. Spisał własne doświadczenia, własne niepokoje i perypetie, własne odczucia. Zrobił to w sposób prosty, bezpretensjonalny.

„Siedem trudnych lat“ opowiada o RWE i ludziach tam pracujących, Właśnie o ludziach. Nie pokazuje bowiem Czechowicz „demonów zła“ i „zapłutych kariów reakcji“, tylko po prostu ludzi. Czasem złych, przebiegłych zdemoralizowanych, czasem zagubionych i nieszczęśliwych, jak ów aktor z Polski, który był zbyt prostolinijny i na swój sposób ucciwy, aby w owym piekle intryg wytrzymał.

Galeria autentycznych postaci przedstawionych nam w książce „Siedem trudnych lat“ jest bardzo różnorodna, rzekłbym nawet barwna i wcale nie są to wyłącznie czarne barwy. Czechowicz stara się spojrzeć na tych ludzi jakos obiektywnie, pokazać ich w całej ludzkiej przeciwieństwowości. Właśnie dlatego te wspomnienia oficera polskiego wywiadu techną taką prawdą, są tak wiarygodne.

Andrzej Czechowicz, „Siedem trudnych lat“, MON 1973, cena 30 zł.

MOSKIEWSKI BEDEKER

W wielotomowej już i zasłużonej serii ABC ukazują się wreszcie „Moskiewskie ABC“. Dziwnie, że tak późno, ale dobrze, że jednak... Na przykładzie tej najnowszej książki widać zresztą, jaką ewolucję przeszła ta seria od zbioru suchych informacji — do książek par excellence reporterskich, wychodzących ze ścisłych ram abecadła.

Taką właśnie pasjonującą reporterską książką jest ABC Kraszewskiego i Redlicha. Jeśli pod literą „G“ na przykład pisze się — zwiście o moskiewskim GUM-ie, to jest to tylko pretekst do ukazania w ogóle problemów handlowych. Autor wychodzi stosunkowo szybko z przestronnych hałd domu towarowego przy Placu Czerwonym i prowadzi nas także po innych słynnych placówkach, czy wręcz dzielnicach handlowych (vide CUM, „magazyn Jelisejewa“, sklepy na Pietrowce itp.). Jeśli pod literą „T“ jest — oczywiście — mowa o Teatrze Wielkim, to jest to w końcu pretekst do ukazania bogatego i wielostronnego życia teatralnego Moskwy. Podobnie rzecz się ma z rozdziałami o metrze, uniwersytecie czy o ciekawych domach. W tym ostatnim wszakże wypadku brak mi ciekawego z pewnością domu przy ul. Worowskiego, który był pierwszym domem pałacu Rostowych z „Wojny i pokoju“, a dziś siedzibą władz Związku Pisarzy Radzieckich.

Brak mi również rozdziału, który mógłby być pasjonujący. Dworce kolejowe Moskwy! Jest ich wiele, a każdy ma swoją ciekawą historię, architekturę, swój klimat i charakter. Rozumiem jednak, że tego rodzaju postulaty pod adresem książki, można mnożyć w nieskończoność (mogły być rozdział o radzieckim cyrku, mogły być rozdział o Prospekte Kallina itd.). W ten sposób książka przekroczyłaby granicę zakreślona dla serii. Autorzy: Jerzy Kraszewski i Jerzy Redlich, utrzymując się w tych granicach, napisali książkę ciekawą o dużym ładunku poznawczym.

J. WIL.

Jerzy Kraszewski, Jerzy Redlich, „Moskiewskie ABC“, Wyd. „Iskry“ 1973, cena 20 zł.



BLASZANE PUDELKO PO HOLENDERSKIM KAKAO. PO CZĄTEK BURZLIWEJ HISTORII SZYNSZYLOWEGO FUTRA. CIESZYMY SIĘ ŻE ZNOW BĘDZIE BIEDA.

(III)

STEFANIA GRODZIŃSKA

Wróćmy wstecz, kiedy moja matka znalazła się w Berlinie w jakiś czas po pierwszej wojnie światowej. Był to pod względem ekonomicznym okres dziwny i pełen niespodzianek. Mąż mojej matki, antytalent, jeśli chodzi o zarobienie choć paru groszy, zupełnie przypadkowo i niemal bez swego udziału zaczął robić dobre interesy. A dobre interesy wówczas w Berlinie, to było coś. I tak w ciągu krótkiego czasu ni z tego ni z owego para obdarych emigrantów została parą bogatych ludzi. Mąż mojej matki i moja matka byli zupełnie nieprzygotowani psychicznie do roli ludzi bogatych. Najlepszy dowód, że mogąc bez wysiłku kupić najpiękniejsze mieszkanie i umeblować je antykami, mieszkali w dalszym ciągu w pokoju sublokatorskim na Wilmsdorferstrasse, tyle że w czasie wielkiej prosperity donajeli drugi pokój, sąsiedni. Tu wspomnę, że moja matka nigdy, do końca życia, nie miała własnego mieszkania ani mebli. Miała natomiast w tym czasie blaszane pudelko po holenderskim kakao, a w nim — brylantową kolbę i kolczyki, oraz jakieś bransoletki i pierścionki ze szmaragdami i szafirami. Wiele lat później prosiłam matkę, żeby mi opowiedziała o tamtym, ale nie pamiętała. Utkwił jej w pamięci tylko ten brylantowy komplet a i to dlatego, że, jak mówiła, wyglądała w nim na operetkową śpiewaczkę będącą użyczeniem carskiego generała. Blaszaną pudelko stało spokojnie na stoliku i miałam prawo bawić się bżuterią ile chciałam, ale mnie najbardziej fascynowało właśnie to blaszane pudelko, na którym tłusty bachor patrzył spode łba na filiżankę kakao.

Moja matka nie lubiła tej bżuterii. Z całego bogactwa, jakim przez ten niedługi czas

rozporządzała, przywiązywała wagę tylko do niezwyklego i bezcennego futra z szynszyli. Uwielbiała je i nosiła normalnie na co dzień do miasta, budząc niewypowiedzianą zgrozę wśród znajomych i sensację wśród przechodniów.

Pewnego dnia moja matka przyszła po mnie do internatu, gdzie zostałam oddana, kiedy zaczęły się dobre interesy.

— Co to, niedziela? — ucieczałam się.

— Nie, piątek — odpowiedziała matka — pożegnaj się z koleżankami i zabierz rzeczy, bo już tu nie wrócisz.

Miałam sześć lat, ale nauzona byłam przez życie nie zadawać pytań w kluczowych momentach (później ta mądrość przydawała mi się wiele razy podczas wojny, oraz w relacjach z mężczyznami). Pakując się zostawiłam większość moich rzeczy, ale zabrałam albumik, gdzie wpisywały mi się moje koleżanki z niemieckich do-brych domów (przypominam, że tam nauka rozpoczynała się o rok wcześniej niż u nas, byliśmy więc już piśmiennicami). Ten albumik był jedyną rzeczą z dzieciństwa, jaką przechowałam poprzez moje życiowe perypetie, a zginął dopiero za którąś przynusową i nagłą przeprowadzką w czasie okupacji.

„Wen Du einst nach spätern Tagen Diese Zeiten wirst durchlehen. Denk daran, wie froh wir waren Wenn wir Kinder noch gewesen Und mit frohen, heiteren Sinn Gingen wir zu Schule hin“.

Albo: „Du lagst im Garten und schliefst Da kam ein Engel und rief: Steffi, du sollst auferstehen Und zu deine Freundin gehen“.

Margot, Ilse, Hannelore, małe przyjaciółki ze wspólnego

pokoju! Czy chodzącyście po ulicach okupowanej Warszawy obwieszona futrami, zrabowanymi moim sąsiadom? Czy w mundurach służb pomocniczych zarabialiście na ordery w Oświęcimiu, na Szucha? W internacie miałyśmy zwyczaj siadać na podłodze w kółko i każda plotła warkoczyki tej, która siedziała przed nią. Twarz matki, której jedyną fotografię ukradziono mi razem z portfelem przeszło 20 lat temu, zaciera mi się w pamięci, a wasze wierszydła będą zajmowały miejsce w moim mózgu już do końca życia.

Tak więc matka przyszła po mnie w tym niezwykle kłopotliwym futrze z szynszyli, a ja dopiero po latach pojęłam związek między tym faktem a zdumionym spojrzeniem kierowniczkii internatu na słowa matki:

— Niestety muszę ją odebrać, bo nie stać nas na płacenie.

A na to właśnie zdumione spojrzenie dorzuciła ze swoim ślicznym uśmiechem: — Mąż mój wczoraj wszystko stracił, ale ja się o tym dowiedziałam późno wczorajem, więc zabieram dziecko dopiero dzisiaj.

Kiedy słyśmy do domu, podskakiwałyśmy obie z radości, że już nie będę w internacie, bo moja matka świetnie rozumiała, do jakiego stopnia ten internat do mnie nie pasował.

Słyśmy, co chwila rzucając się sobie w objęcia, futro mojej matki było niewyważalnie miękkie i pachniało, a moja matka opowiadała mi, że mąż jej poszedł sprzedawać te brylanty i resztę bżuterii, ale żeby się nie martwiła, ale specjalnie go poprosiła o pozostawienie dla mnie blaszanego pudelka po kakao. Byłam bardzo szczęśliwa i

moja matka też. Obie cieszyłyśmy się, że jak teraz się znacznie bieda, to nie będzie za co umieścić mnie poza domem.

Nigdy się nie dowiem, w jaki sposób hitlerowcy zamordowali moją matkę, ale myśląc o niej zawsze wspominałam tę radośną drogę z internatu do domu. Matka błagała mnie tylko, żebym w obecności jej męża nie okazywała zadowolenia z nieszczęścia, bo on tego nie zrozumie i żebym pilnie patrzyła jaka ona będzie zmartwiona i ja mam być taka sama. Z tej drogi pozostało mi wspomnienie straszliwie silnej więzi z moją matką i dotyku tego bezcennego futra z szynszyli.

Nie chciałabym uchodzić za niewdzięcznicę, niezadowolona z takiego drogi internatu. Może mnie trochę usprawiedliwi sprawa serwety. Otóż na poprzednią gwiazdkę każda z nas była zmuszona wykonać dla swojej matki sztydelkiem podłużną serwetę na kredens. To się nazywało laufer i my małuchy miałyśmy łatwiejsze wzory, a im która starsza, tym trudniejszą koronkę musiała wyszydelkować. Moja matka nie posiadała na własność nawet krzesła czy poduszki, co dopiero mówić o kredensie. Posiadała wprawdzie brylanty w blaszanym pudelku, ale do nich taka serwetka nie mogła mieć zastosowania. Kiedy dałam tę serwetę mojej matce i wyrecytowałam przy tym niemiecki wierszyk z którego wynikało, że osobiście te serwetki zrobiłam pracowitymi paluszkami, moja matka chwyciła mnie w objęcia i długo mnie kołysała, mówiąc:

— Moje biedne dziecko, moje biedne dziecko, nie martw się, czasem w życiu tak bywa.

Bo my z moją matką zawsze rozmawialiśmy skróta-mi. c. d. n.



KSIĄŻKA

Ostatnio piśmiennictwo naukowe wzbogaciło się o cenną pozycję — „Słownik pracowników książki polskiej“. Stanowi ona owoc długotrwałych poczynań organizacyjnych naczelnego redaktora wydawnictwa, Irenej Treichel oraz jej najbliższych współpracownic — Hanny Tadeusiewicz i Anny Michalewskiej, które koordynowały działalność członków Komitetu Redakcyjnego, reprezentujących większość bibliotek uniwersyteckich naszego kraju. W pracy nad „Słownikiem“ brało udział ponad 550 autorów. O tak wielkiej liczbie

KSIĘGA POLSKICH SPRAW

współtwórców „Słownika“ zdecydował jego szeroki zakres. Publikacja ta zawiera około 3000 artykułów, poświęconych osobom trudniącym się legalnym lub nielegalnym wytwarzaniem i rozpowszechnianiem książki w Polsce oraz poza jej granicami na przestrzeni minionego tysiąclecia — mianowicie: kopistom, iluminatorom książki rękopiśmiennej, drukarzom, wydawcom, nakładcom, ilustratorom, intrologom, księgarzom, bibliotekarzom, bibliofilom i bibliologom.

Lektura „Słownika pracowników książki polskiej“ nie tylko wzbogaca wiedzę czytelnika, lecz skłania go do refleksji nad siłą słowa drukowanego, które stało się orężem w walce o niepodległość czy równość społeczną. Miara owej siły jest na przykład nienawiść faszystów, którzy w 1939 r. nie poprzestali na aresztowaniu olsztyńskiego wydawcy Seweryna Pieniężnego i zlikwidowaniu jego przed-

siębiorstwa, lecz rozebrali budynek firmy a na jego miejscu postawili publiczny szalet i umieścili napis „Schandfleck“ (miejsce hańby). Dowodem siły słowa drukowanego są też dzieje licznych rodów księgarzy, wydawców, działaczy bibliotecznych — Zawadzkich, Pawlikowskich, Przytkowskich i wielu innych, którzy mimo wojen, zaborów, okupacji, kryzysów gospodarczych, klęsk osobistych przez kilka pokoleń pozostawali wierni książce.

„Słownik pracowników książki polskiej“ staje się lekturą o dużych walorach wychowawczych, ucząc szlachetnej pasji gromadzenia książek, dając przykłady przywiązania do zawodu, traktowanego nie tylko jako źródło utrzymania lecz także jako osobiste „hobby“ a zarazem służbę społeczną.

W zaprezentowanej przez autorów „Słownika“ galerii ludzi książki nie brak jest przedstawicieli Łodzi i regionu. Należą do nich między innymi: Zygmunt Hajkowski, nauczyciel — polonista, Przemysław Smolik, lekarz — założyciele Towarzystwa Bibliofilów; następnie drukarze będący nieraz księgarzami i wydawcami — Jan Petersilge, Adolf Słomnicki, Stanisław Książek, Leopold Zoner; poza tym Bronisław Rogowski oraz siostry Pieńkowskie, kolejni właściciele istniejącej po dziś dzień w tym samym lokalu przy ul. Andrzeja 5 pierwszej łódzkiej wypożyczalni książek. Znajdziemy też nazwisko Anieli Mikuckiej, pionierki w dziedzinie badania czytelnictwa oraz Henryka Iglę, jednego z istniejącej od XVIII w. lwowskiej dynastii antykwaryuszy, którego losy po wojnie rzucały do naszego miasta. „Słownik“ wydobycza z zapomnienia Emila Balcera, kupca, radnego, następnie burmistrza Łowicza, kolekcjonera książek i dokumen-

Dalszy ciąg na str. 11

TRUDNE LATA

Dalszy ciąg ze str. 1

tucją na Bałkanach po zabójstwie w Sarajewie 28 czerwca 1914 roku następcy tronu Austro-Węgier — arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony Zofii.

Wypowiedzenie wojny Serbii przez Austrię 28 lipca w warunkach ówczesnych — powiązania najrozmaitszymi sojuszami obu przeciwników z innymi państwami Europy z błyskawiczną szybkością rozprzestrzeniło konflikt na cały kontynent w ciągu kilkunastu dni sierpnia 1914 roku.

Początkowo społeczeństwo łódzkie mimo groźnych wieści nie wierzyło w wybuch wojny. W kołach towarzyskich rozpowszechniano żartobliwe powiedzonko, nawiązujące do sarajewskich wydarzeń „Iz — za principa wojny wiesti nie budiem”.

Zupełnym zaskoczeniem okazało się ogłoszenie mobilizacji 30 lipca 1914 roku. Rosyjski Bank Państwa rozpoczął natychmiastową ewakuację (granica z Niemcami przebiegała wówczas zaledwie 110 km od Łodzi), zawieszając podobnie jak i Państwowa Kasa Oszczędności wszelkie wypłaty. Ogłoszono przy tym — jak na ironię — na poeciezenie dla tysięcy zrozpaczonych ludzi, że wkłady będą wypłacone w... Moskwie.

W większych fabrykach łódzkich zapowiedziano, że będą one czynne tak długo, jak na to pozwolą zapasy węgla. Inne zostały zamknięte w pierwszym dniu mobilizacji, pozabawiając pracy wiele tysięcy ludzi. Sytuacja opatawa skomplikowała się tym bardziej, że już w pierwszych dniach wojny wojska niemieckie zajęły Zagłę-

bie Dąbrowskie, a na zaopatrywanie z Zagłębia Donieckiego wobec słabości transportu kolejowego nie można było liczyć.

W połowie sierpnia 1914 roku nieczynne były niemal wszystkie zakłady przemysłowe. Pracowały tylko zakłady I. K. Poznańskiego i to tylko trzy dni w tygodniu. Najważniejszym, kluczowym problemem Łodzi stała się odtąd aż do odyskania niepodległości sprawa pomocy dla coraz liczniejszych rzesz jej mieszkańców pozabawionych środków do życia. W 1914 roku liczba robotników fabrycznych w Łodzi wynosiła około 100 tysięcy. Po unieruchomieniu produkcji fabrykanci zgodzili się wypłacić robotnikom niewielkie zasiłki — dla robotników obarczonych rodziną po półtora rubla tygodniowo, nie żonatom — jeden rubel. Przy fabrykach urządzano także tanie kuchnie, w których obiad kosztował 4 kopiejki, zaś za jedną kopiejką do obiadu dodawano ćwierć funta chleba.

Ciężkie położenie ludności miasta opisywał Główny Komitet Obywatelski (organ samorządowy utworzony 3 sierpnia przez przedstawicieli burżuazji i inteligencji dla kierowania sprawami miasta po ucieczce władz carskich) przedstawiając sytuację w Łodzi — Centralnemu Komitetowi Obywatelskiemu w Warszawie:

„Reasumując sytuację miasta Łodzi w dobie obecnej stwierdzić należy przede wszystkim okoliczność, że miasto z 500-tysięczną ludnością zatrzymało się w całej swojej normalnej funkcji tj. pracy fabryk, za czym poszło zupełne sparaliżowanie

handlu, a więc dwóch jedynych czynników normalnego zarobkowania. Ponieważ obliczając w przybliżeniu na 2/3 ilość mieszkańców wyżywających się tylko własną pracą, przeto położenie tych warstw ludności jest wprost rozpaczliwe”.

Według oficjalnych danych bez środków do życia było w Łodzi i wrześniu 1914 roku 135 tys. osób. Liczba ta rosła niepokojąco by w maju 1915 roku osiągnąć ćwierć miliona, co wobec 470 tys. ówczesnej ludności było wprost przerażające.

Zapomogli wydawane przez fabrykantów i specjalnie utworzone dla celów dobroczynnych Komitety Obywatelskie Niesienia Pomocy Biednym były niewielkie i niewystarczające — średnio na jedną osobę wypadało dziennie 7 kopiejek. Tymczasem lekarze łódzcy obliczali w 1915 roku, że dzienna wartość środków spożycia na jedną osobę dorosłą powinna wynosić 20 kopiejek.

W parze z tą niekorzystną dysproporcją szła nieproporcjonalna zwyżka cen na artykuły żywnościowe spowodowana zniszczeniami wsi i rekultywacjami. W ciągu pierwszego roku wojny np. ceny ziemniaków wzrosły o 430 proc., tłuszczy o 200, a mąki o 160 proc. Nic więc dziwnego, że już od połowy sierpnia 1914 roku prasa coraz częściej donosiła o wypadkach zasłabnięć, a nawet śmierci z głodu.

„Nedzy spotyka się dużo na głównej ulicy — Piotrkowskiej — pisał przebywający w 1915 roku w Łodzi ziemianin z krakowskiego dr Jan Hupka — mnóstwo małych, wynędzniałych dzieci sprze-

daje gazety, zapalki, papierosy i żebrze. I trzeba mieć pełne kieszenie miedzianików by wystarczyć na oddzielenie tych dzieci, których sam wygląd dowodzi, że prawda jest co mówią, że są bardzo głodne”.

Dodatkowym kłopotem dla ludzi, kierujących pomocą dla najbiedniejszych były częste rekwizytce i kontrybucje, które okupanci niemieccy nakładali na miasto często z najbardziej nawet blahych powodów. Tylko w okresie działania Głównego Komitetu Obywatelskiego (3. VIII. 1914 — 1. VII. 1915) pochłonęły one 12 proc. budżetu miejskiego pomniejszając kwoty przeznaczone na pomoc dla biednych.

Częściowe rozwiązanie trudnego problemu pomocy dla najbiedniejszej ludności przyniosło utworzenie szeregu tanich i bezpłatnych kuchni, które funkcjonowały przez cały okres wojny i w pierwszych, trudnych latach po odzyskaniu niepodległości. Szybki ilościowy rozwój tej formy pomocy społecznej (w połowie 1915 roku funkcjonowało już 49 tanich i 21 bezpłatnych kuchni) był zasługą klasowych związków zawodowych robotników łódzkich. Jedną z czołowych organizacji tej akcji była **Maria Koszulska**, aktywna działaczka PPS — Lewicy. Za przykładem związków zawodowych poszły różne towarzystwa dobroczynności, cechy i parafie, a nawet osoby prywatne.

Możliwości szerszego dzia-

łania w tej dziedzinie stworzyła pomoc jaką udzielił Łodzi Polacy z Poznańskiego. Ich delegaci, między innymi **Julian Marchlewski** przebywali w naszym mieście w marcu 1915 roku zapoznając się na miejscu ze stanem potrzeb proletariatu łódzkiego.

Organizowanie kuchni robotniczych spotkało się początkowo z ostrą krytyką przedstawicieli duchowieństwa, kierujących Komitetem Obywatelskim Niesienia Pomocy Biednym, jako że — „wspólna kuchnia przyczynia się do rozprzeżenia rodziny”. Twarda konieczność życiowa przelamała jednak wkrótce wszelkie opory. W 1917 roku kuchnie te żywiły już około 75 tysięcy osób, czyli blisko 1/4 część ludności.

Trudną sytuację łódzian pogłębiło znacznie wprowadzenie w czerwcu 1915 r. ograniczenia spożycia chleba. Przypadająca wówczas na jednego mieszkańca racja mąki wynosiła 150 g. Zmniejszono ją następnie do 120 g, rozpoczynając jednocześnie wypiek tzw. „chleba wojennego”. Jego jakość i walory odżywcze budziły wiele wątpliwości gdyż oprócz zwykłej mąki żytniej dodawano zazwyczaj dużą ilość mączki z drzew iglastych, mąkę kartoflaną i... piasek, którego zawartość sięgała 2,5 proc.

Poważny problem stwarzał fakt, że nie było skąd sprowadzać żywności, wobec zniszczenia okolic miasta w

czasie zaciętych walk niemiecko-rosyjskich na jesieni 1914 roku w czasie tzw. „Bitwy pod Łodzią”. Dotyczyło to szczególnie wiosek, położonych na południe i zachód od Łodzi.

W 1918 roku niemieckie władze okupacyjne w Łodzi zredukowały dzienną rację chleba do 80 g na osobę. Wyczerpanie odnośni wskutek nieustannych ograniczeń żywnościowych, braku zarobków (blisko 60 tys. robotników łódzkich pracowało w Niemczech) i pogorszenia się stanu zdrowotnego doszło do zenitu. Ale i okupanci mimo że na frontach odnieśli jeszcze do połowy 1918 roku sukcesy militarne coraz wyraźniej zdradzali objawy — jak sami to określali — „zmęczenia wojennego”.

Wygłodzona i zrozpaczona wobec kontynuowania bezadziejnej wojny ludność Niemiec i Austro-Węgier zwróciła się w końcu biorąc przykład z proletariatu Rosji przeciwko winnym swej niedoli. 10 listopada 1918 roku na wiadomość o rewolucji w Berlinie oddziały niemieckie stacjonujące w Łodzi, zbuntowały się i utworzyły Radę Żołnierską. Jednocześnie mieszkańcy Łodzi 11 listopada przystąpili do rozbrajania okupantów. Tego samego dnia Łódź, po 123 latach niewoli odzyskała wolność.

MIECZYŚLAW SKARŻYŃSKI



Tak właśnie powstał Amsterdam, a waga Oudewater, które uzyskało prawa miejskie już w roku 1265 od amsterdamskiej była bez wątpienia starsza. Zeby jednak pojąć niezwykłość wagi w Oudewater i zrozumieć istotny sens jej wyjątkowej sławy, sięgającej daleko poza granice Niderlandów, musimy rzucić okiem na ówczesną Europę, a raczej na stan umysłów jej mieszkańców.

Nie jest to ładny obrazek, o nie. Nie ma się czym chwalić. Pomijając większe i mniejsze mordobicia między królami, katolikami, protestantami, kalwinami, lutrami i innymi nacjami, pomijając afery polityczne, religijne i filozoficzne — każdy, kto tylko miał odrobinę siły i chęci, uganiał się za czarownicami i czarownikami, donosił, łapał je, palił, torturował, dusił... Trzeba przyznać obiektywnie, że czarownice i czarownicy — a zwłaszcza czarownice — w onych czasach było od jasnej cholery. Gdzie się człek poczuł w bogobojny nie obejrzał — siedziała taka, stara i sucha, albo młoda i jedna — i ze złymi mocami różne święskie hocki-klocki uprawiała, a w wolnych chwilach bliżnim tzw. „świnie” podkładała chętnie: a to mleko krowie odjęła, a to kurze kazała znieść kwadratowe jajka, a to babę w capa zakłęja i po wądolach wodziła... Nie było wesoło. Pan Bóg robił, co mógł, ale szatan okazał się bystrzak i rękami białogłów oraz czym innym straszliwe czynił spustoszenia w dobytku i duszach. Słowem — hulaj

po Europie jak Czapajewgieroj po Uralu. Nie należy się przeto dziwić, że kto mógł to łapał te stare i młode czarownice i na stosik je... i na stosik... Wyglądała Europa jak lunapark nocą. Strasznie wtedy lasy przetrzebiono, zwłaszcza na obszarach niemieckich, mieli bowiem tam oni do palenia wyjątkową smykałkę. Jak im zabrakło czarownic, to palili potem książki, miasta, Żydów, Słowian, co się dało...

Jedynie w Niderlandach czarownicom (starym i młodym — bez wyjątku) dano święty spokój. Pozwolono im hasać sobie swobodnie po wszystkich siedmiu prowincjach zjednoczonych w uni utrechckiej. Sam Rene Descartes, przezywany Kartezjuszem, przyznawał, że bardzo je lubi i uważa za ciekawostkę folklorystyczną. Plotka głosi, że wszedł nawet w bliższe kontakty z jakąś młodą (i ponoć przez szatana bardzo kształtnie uformowaną) czarownicą z Lejdy, aby sprawdzić to i owo, jako że nigdy nikomu na słowo nie wierzył i opierał się jeno na własnym doświadczeniu i oglądzie. Jak tam te doświadczenia się potoczyły, jaka z nich wynikała dla obojga konkluzja — nie nasza to sprawa. Niemniej Kartezjusz przechadzając się po ulicach Amsterdamu, pisał do swego przyjaciela we Francji Jean Louis de Balzaca: „Czyż istnieje na świecie kraj, w którym człowiek mógłby się czuć jeszcze bardziej wolny?”

Co jednak ma wspólnego z tym wszystkim waga targowa w Oudewater? A ma, i to wiele. Była to bowiem waga „do ważenia czarownic”, wierzone bowiem, iż

ten, kto się z siłami nieczystymi kuma, waży nieco mniej niż powinien. Waga targowa w Oudewater, na której wazono przybyzów z najdalszych stron Europy (ale przeważnie z prowincji niemieckiej), posadzonych o czarownictwo, nie wykryła nigdy u nikogo żadnych niedoborów, żadnego manka. Wszystkim ważonym władze miasta wystawiały stosowne certyfikaty, iż waży tyle, ile ważyć powinni, a zatem są zwolnieni od posiadzeń o czary. Waga wisi do dziś w tym samym miejscu, w którym wisiła onegdaj. Jeszcze przed pierwszą wojną wazono na niej sery. Jest ona jednym z najwspanialszych pomników zdrowego ludzkiego rozsądku. (A swoją drogą mieszkańcy Oudewater mieli niewielkie poczucie humoru, jeśli się całej sprawie przyjrzyć z nieco innej strony).

Piję piwo w dworcowym bufecie. Przy kontuarze dwóch nagryanych facetów kiwa się nad kufkami i nad swoją partyzanką przeszłością.

— Wacuś, za stodołą go złapałem, w czarne porzeczki wlaź sukiny. Pojmujesz Wacek ten symbol? W czarnym mundurze w czarne porzeczki wlaź i miał czarne włosy, a powinien być blondyn — no nie? i czarna miał duszę i czarną śmierć z mojej ręki znalazł. Wacek, ty wiesz. Ty to zrozumiesz, bo znasz życie... W czarnych porzeczkach czarna śmierć miał... A ja do niego: ta-ta-ta i cześć...

Do bufetu podchodzi szczupła, wysoka, długonoga dziewczyna w spodniach z krótkimi włosami, w okularach na małym śmieszny

nosku. Prosi o paczkę „Giewontów”. Z filtrem. Paci słowa. Bufetowa mozołnie bilonem wydaje resztę. Facet przerywa o czarnych porzeczkach i czarnej śmierci... — Wacuś, popatrz na jej nogi. No, popatrz, jakie ona ma nogi...

Wacuś z uwagą wpatruje się w spodnie dziewczyny. Fakt — powiada — ma nogi jak trza.

— Wacuś — głos faceta od czarnych porzeczek nabiera innych tonów — to intelektualistka. Takie są najgorsze. Szynką i pomarańczami będziesz ją karmił, a ona ci potem powie, że ci laskę robiła. Wacek, ja znam życie. Taka to i w mordę może dać i co zrobisz? No, powiedz Wacuś, co zrobisz? Chłopu oddasz, a takiej? Masz jak w banku na pysku i cześć. Ja znam życie, Wacek...

Długonoga dziewczyna odeszła, faceci kiwają się nad niedopitymi kufkami i nad życiem... Smutek pustych, dworcowych poczekalni brzęczy jarzeniowym światłem. Wychodzę na peron w noc, bo dużo jeszcze czasu do mojego expressu...

A tu starzy znajomi... Komiwojażer od sztuk pięknych i komiwojażer od Norwida. (Brakuje tylko Cendrarowskiego wojażera od biżuterii, który wybierał się do Charbinu). Komiwojażer od sztuk pięknych ma kwaśną minę. — Panie — powiada — pod koniec roku będą szły obrazki, bo zakłady będą musiały na coś wydukać forszę, a teraz im na sztukę wolno. Na razie sezon ogórkowy.

Komiwojażer od Norwida, co po szkołach jeździ z monodramą pt. „PROMETHIDIONY”, ma twarz wytrawnego pokerzysty. On ma w kieszeni zgłoszenia i terminy

w kalendarzu. On „tańczy, śpiewa, podskakuje, sam gotuje i nie czuje” — taka jest jego zasada monodramy, taka sztuka życia. Szkoły Norwida biorą chętnie, a on wie, że grunt to zdrowe nerwy.

Komiwojażer od sztuk pięknych opowiada, że ma znajomego księgarza, a ten księgarz od lat ma stałego klienta — pewien duży zakład przemysłowy, który pod koniec roku bierze od niego na cele kulturalne jeden metr sześcienny książek, jak leci. To się nazywa klient — rozczula się komiwojażer.

* * *

Maciej Gutowski w swojej książce „Komizm w polskiej sztuce gotyckiej” tak pisze: „Przystępując do omówienia przedstawień, których komizm polega głównie na ukazaniu sytuacji komicznej, trzeba na wstępie zastrzec, że wprowadzony podział na postacie komiczne i sytuację komiczną nie jest całkiem ostry w konkretnych przypadkach. Postacie komiczne bowiem często nie tylko demonstrują same siebie, lecz także odgrywają pewne sceny, a postaci skądinąd nigdy nie traktowane z komizmem, biorąc udział w sytuacji komicznej, zwykle, choć nie zawsze, stają się przez to śmieszne. Do takich granicznych przykładów pomiędzy wyobrażeniem postaci a sytuacją komiczną należą m. in. sceny z lisem”.

Przecinają się drogi międzynarodowych expressów. Pokrętnie są szlaki ludzkich myśli... Ciekawe, ile waży nasza rzeczywistość? Tyle, ile powinna, czy też trochę mniej? A może trochę więcej?

GLOBROTTER

SZKOŁA nowoczesnych ARTYSTÓW

Im bardziej wszystkie zagadnienia naszej kultury nowoczesnej, stają się ostatecznie zagadnieniami ludzkimi, tym pilniejszą staje się sprawa nowego przystosowania systemu wychowawczo-kształcącego do tych wielkich konieczności. Studentów uczelni artystycznych w Polsce pytano, czy czują się artystami? Tymczasem należałoby przede wszystkim zapytać, czy dostatecznie czują się ludźmi? Takie nieustanne gadanie o artyście i odwoływanie się do tego, co ostateczne i najwyższe, wzięło się w Akademii Sztuk Pięknych z przyjęcia postawy kształcenia idealnego.

TYP IDEALNY, który od czasów greckich aż do końca XIX wieku zajmował całą myśl artystyczną, posiadał w swej istocie znaczenie teleologiczne. Wyobrażenie typu idealnego zmusza do znalezienia dzieł najlepszych z przeszłości i mierzenia według nich aktualnej pracy artystycznej. Od rzeźby greckiej do impresjonizmu i postimpresjonizmu, wszystkie poszukiwania artystów są w gruncie rzeczy próbami ustalenia w sposób decydujący idealnego typu obrazu malarzkiego. Ale typ idealny nie jest przedmiotem wiedzy, lecz dobrej wiary.

Słowo — plastyka — związane jest w Łodzi z historią prądu artystycznego, wywodzącego się z oryginalnej praktyki estetycznej, która stworzyła podwaliny polskiej sztuki stosowanej (użytkowej). Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi od początku swego istnienia oparła swoją ideologię o ideologię grupy AR (Artyści Rewolucyjni). Wśród założycieli szkoły był, między innymi, członek grupy AR, Władysław Strzemiński i blisko z nią związany Stefan Wegner. W czasie, kiedy ideologia powstawała, wyprzedziła ona bardzo poważnie wszystko to, co w zakresie myśli artystycznej na świecie istniało.

Rewolucyjność grupy AR polegała na zerwaniu z dotychczasowym modelem twórcy — „twórcy samotnego”, wyizolowanego z życia społecznego, wyobcowanego, a wywodzącego się z romantyzmu mieszczańskiego. „Artyści Rewolucyjni” określali współczesną rolę twórcy jako organizatora życia społecznego, związanego ze społecznością, wchodzącego w jego potrzeby, organizującego jego życie. Abyż można było wywierać istotny wpływ na życie całego społeczeństwa w szerkim zasięgu, „Artyści Rewolucyjni” uważali, że należy sięgnąć do nowoczesnych środków wytwarzania, które będą mogły wpływać na życie, a więc środki przemysłowe, architektura, nowoczesne środki informacji.

Malarstwo — w takiej sytuacji — staje się rodzajem laboratorium, w którym rozstrzyga się to wszystko, co w konsekwencji znajdzie swoje skutki w życiu. Sztuka, będąc w stałych stosunkach z innymi przejawami życia społecznego, musi uznawać je jako równorzędne przy całej swej odrębności. Julian Przybóś — członek grupy AR na ten temat pisze:

„Nawet obraz służyć ma nie tylko jako dzieło przeznaczone do oglądania w muzeum. Jego celem społecznym winno być wniesienie w życie powszednie, poprzez zastosowanie go w wyrobie rzeczy codziennych. Idea integracji życia przez sztukę zrodziła się w Polsce”.

A więc między sztuką a rzeczywistością istnieje zależność dialektyczna: im wyższy poziom osiągnięcia sztuki artystycznej, tym wyższy stopień osiągnięcia sztuki użytkowej, a więc i sztuki rzemieślniczej.

Zwyczaj mówi się o uczelni łódzkiej, że kształciła ludzi dla przemysłu. Jest to poważne uproszczenie. Zasadniczy program był i jest szerszy: chodzi o stworzenie nowego modelu artysty współczesnego, zdolnego brać udział w życiu społecznym, rozumiejącego jego problemy, będącego organizatorem tego życia. Niestety wskutek napora na uczelnię twórców typu tradycyjnego, kontynuatorów hasła „sztuka dla sztuki”. Strzemiński i Wegner zostali usunięci z uczelni i nie było im dane zrealizowanie tego programu i zobaczenie owoców jego w życiu praktycznym. Ale ziarno zostało rzucone.

Głównym wysiłkiem zespołu pedagogicznego PWSSP stało się uzasadnienie tych racji i przeciwstawienie się ciągłej groźbie likwidacji uczelni. (W roku 1956 miała być już ostatecznie zlikwidowana). Poprzez możliwe pertraktacje z Ministerstwem Przemysłu Lekkiego udało się stopniowo uzyskać coraz większe znaczenie w przemyśle. Dla przykładu podam, że w jednym tylko roku — 1962 — przemysł przyjął do produkcji 24.000 nowych wzorów.

Kiedy jednak pod naporem różnego rodzaju „twórców” Ministerstwo Kultury postanowiło uczelnię zlikwidować, nie doszło do skutku. Stało się to m. in. dzięki dużej wystawie prac uczelni w warszawskiej „Zachęcie”.

Wystawa była sensacją artystyczną. Wartość pedagogicznych i artystycznych poczynań szkoły potwierdziły również wystawy zagranicą.

nowe procesy technologiczne rozszerzają obszar działalności projektanta. Nie wystarczy już jedynie projektowanie estetycznych form produktu, potrzeba opracowań kompleksowych, obejmujących wyrob, jego opakowanie, prezentację i reklamę. Zakres pracy artysty projektanta obejmować będzie coraz to nowe dziedziny wytwarzania i pośrednictwa między producentem a konsumentem. Współczesna cywilizacja uczy nas patrzeć na otaczający świat poprzez kadr reprodukcji i obrazu telewizyjnego, ukazuje go w skrócie, w syntetycznym zapisie. Musimy też o tym pamiętać, że dzięki środkom masowego przekazu, a przede wszystkim telewizji (i to niedługo telewizji kolorowej), w jednaki sposób będą kształtowały się gusta estetyczne całego społeczeństwa, i to zarówno w mieście, jak i na wsi.

Uczelniom artystycznym w kraju wyznaczono poszczególne odcinki; przygotowania specjalistów projektantów — dla przemysłu maszynowego, elektrycznego, chemicznego, ceramicznego, meblarskiego itp. Szkole łódzkiej powierzono już tradycyjny odcinek kształcenia projektantów ubioru i tkaniny oraz nowy zakres projektowania graficznego obejmujący zagadnienia opakowań, reklamę, informację wizualną itp. Obok tych zagadnień, wynikających z potrzeb przemysłu uczelnia musi pamiętać o potrzebach kulturotwórczych naszego regionu i nowych obowiązkach, wynikających z modernizacji, przebudowy miasta.

Chociaż akademie artystyczne istnieją już przeszło 400 lat, badania naukowe nad zagadnieniami pedagogiki i dydaktyki nauczania artystycznego nie zostały właściwie szerzej przeprowadzone. Schemat nauczania: mistrz — uczeń przetrwał przez niemal całą historię szkolnictwa artystycznego.

Tendencją nowych programów szkół artystycznych, w tym i łódzkiej uczelni, jest integracja kształcenia artystycznego i kierunkowego. Podobnie, jak w innych nowoczesnych szkołach na świecie, wprowadzono nowe grupy przedmiotów kształcenia artystycznego, jak fotografia i film, pracownie wybranych zagadnień plastycznych itp., w których można realizować zamierzenia artystyczne nie mieszczące się w klasycznych podziałach malarstwa, rzeźby, czy grafiki. Indywidualizacja programu studiów pozwala na przygotowanie absolwentów o zróżnicowanej skali możliwości twórczej i odmiennych drogach poszukiwań. Istnieją jeszcze białe plamy na mapach działalności artystycznej. Ta „ziemia niczyja” będzie się zaludniać już za niespełna dwa lata absolwentami wydziału grafiki, a przede wszystkim Katedry Grafiki Projektowej. Szczególnie projektowanie opakowań, wymaga jak najszybszego odrobienia zaległości. Ważne z punktu widzenia społeczeństwa socjalistycznego, jest kształtowanie otoczenia człowieka w pracy, mieście, podczas wypoczynku. Ta problematyka zajmuje się nowo otwartą pracownią projektowania grafiki przestrzennej.

Można być przekonany, że zdolność, praca i przygotowanie zawodowe pozwolą absolwentom łódzkiej uczelni rozwiązywać jak najlepiej zadania stawiane im przez życie, jeśli ramy organizacyjne ich przyszłej pracy nie przeszkadzają w wykorzystaniu talentu i pasji twórczej. Wydaje się, że problem leży nie w tym, czy artyści projektanci są właściwie przygotowani, ale czy są właściwie wykorzystani.

W artykule wykorzystałem materiały uzyskane w trakcie rozmów z prof. Romanem Modzelewskim i kierownikiem uczelni łódzkiej — rektorem, doc. Romanem Artymowskim.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Przed kilkoma tygodniami zaproponowałem Czytelnikom nadsyłanie pomysłów różnej treści i charakteru, takich, których realizacja nastęrcza różne trudności, albo takich, które wydają się interesujące i pożyteczne, a których nie ma komu zgłosić. Zaproponowałem to z nadzieją, że wkrótce pomysły mogłyby zainteresować odpowiednie czynniki. Czytelnicy nie zawiedli. Nadesłali wiele interesujących propozycji, z których wybrałem dwie.

Pierwsza pochodzi od Kazimierza Skibickiego. Opisuje on perypetie swego przyjaciela, który postanowił w czynie społecznym przychylić się do usprawnienia gospodarki surowcami. Oto, co pisze.

Mój przyjaciel z zadowoleniem powitał ogólnonarodową akcję usprawniania gospodarki materiałowej. Początkowo jednak akcja ta była dla niego nieco abstrakcyjna. Nie bardzo wiedział, jaką mógłby w niej odegrać rolę, a bardzo tego chciał. Aż pomógł mu przypadek.

Wszystko zaczęło się prozaicznie. Dostał od małżonki skarpetki, polskie, za 26 złotych. Wkładając skarpetki na nogi, zastanowił się, co zrobić z tak długą cholewką, sięgającą pół łydki, bo na dworze było już ciepło, a skarpetki były prezentem i schować ich nie wypadało. Zawinął je, czy pozostawić bez zmian. Pierwsze wydawało mu się nieestetyczne, drugie — niezdrowe, bo tamowało krew. Przekazał więc problem z kolegami, którzy potwierdzili jego wątpliwość. A

projekt jest nie do przyjęcia z punktu widzenia wytwórcy. Pościągłaby więcej kłopotów niż dał korzyści. Należało bowiem obniżyć cenę skarpetek o ok. 12 proc. Wytwórca zmniejszyłby wartość przerobu. Niekorzystnie zwiększyłby się udział robocizny w kosztach wyrobu. Zagroziłoby to wykonaniu planu wartościowego w Zjednoczeniu.

Przyjaciel nie słuchał już dłużej. Odrobił słuchawkę i z rezygnacją postanowił nie zajmować się więcej usprawnieniem gospodarki materiałowej. Zwątpił w ogóle w sens logicznego myślenia i kierowania się „zdrowym rozsądkiem”.

Wynalazcy cierpieli od wieków. Nowatorstwo nigdy nie poplacało, ale bez tego nigdy też nie mogło być mowy o postępie. Dość dawno już zauważono, że istnieje sprzeczność interesów między producentem a odbiorcą. Przemysł wytwarza to, co mu najwygodniejsze, klient szuka tego, co mu potrzebne. W istocie jedno drugiemu nie powinno przeciwieć, ale w praktyce bywa z tym różnie. Czasem wy-

jednak będzie zwrócić uwagę, że coś takiego jest potrzebne. Ba! Nawet niezbędne.

Przez 51 tygodni możemy postępować między sobą normalnie, to znaczy kopać pod bliźnimi dółki, podkładać sobie nawzajem świnię, pisać na siebie anonimowo do różnych instytucji, plotkować i nie zostawiać na drugich suchej nitki. A przez jeden tydzień — nie z tych rzeczy. Wzajemny szacunek, zrozumienie, pobłażliwość dla ludzkich ułomności, wyrozumiałość i sprawiedliwość w ocenie postępowania bliźniego. W tym jednym tygodniu możemy być wobec siebie pobłażliwi, „prawdomówni, nikt nikogo nie robił w konia. Nie ma biurokracji, bezduszności, znika znieczulica na społeczne bóle. Po tym jednym tygodniu wszystko wraca do stanu poprzedniego, który z trudem można tylko uznać za normalny. Ale wszyscy są zadowoleni, zrobili dobre uczynki, byli ludzcy dla siebie.

Mam jednak obawę — pisze dalej Edward Kacperczak. — Boję się, aby przy naszej skłonności do powszechnego świętowania ów TOCz, nie przetrwał się więcej usprawnieniem gospodarki materiałowej. Będą toasty, referaty o powszechnej trosce o człowieka, chwalenie się tym, cośmy to nie zrobili dla ludzi, premie i nagrody akurat dla tych, co na nie najmniej zasłużyli. I w tym wszystkim zapomni się o człowieku.

Może zbytnio przejaśkrawiam, może patrzę zbyt czarno na naszą powszednią rzeczywistość, ale trudno akurat pisać o tym, co dobre, skoro pragnię się głównie zwrócić uwagę na to, co jeszcze jest złego w naszych wzajemnych stosunkach. Dlatego proszę mi wybaczyć wszelkie przejaśkrawienia i poważnie zastanowić się nad moją propozycją. Tydzień Ochrony

Kosz na pomysły

DWA DO ZERA

więc negatywna ocena skarpetek była słuszna. Eksperymentując i nie wstydząc się w to żony, obelgi nożyczkami zbębna część skarpetki. Następnie zwałił część odciętą i całą skarpetkę. Wynik był interesujący. Okazało się, że zbębna część skarpetki waży około 20 proc. całej skarpetki.

Przyjaciel poczuł się ogromnie dumny, gdyż zrozumiał, że dzięki jego eksperymentowi zwiększy się produkcja letnich skarpetek. Postanowił podzielić się swoim odkryciem. Zadzwoił do podłódzkiej fabryki pończosznicznej, ale tam potraktowano go jak natręta i maniakę. Był jednak uparty i zadzwonił do Zjednoczenia Przemysłu Dzielwarskiego i Pończoszniczego. Jego propozycję przyjęło nieco inaczej. Obiecano przeanalizować i rozważyć. Proszono, aby zadzwonił za tydzień.

Przez kilka nocy nie mógł spać. Zona zaczęła obawiać się o jego zdrowie. Koledzy podejrzewali romans na dołu. Męczyły go koszmarnie sny. Raz był konstruktorem, który obmyślał sposoby zmniejszenia wagi mostu, innym razem — wytwórcą puszek do konserw z cienkiej blachy.

Tego dnia, kiedy miał zadzwonić do Zjednoczenia, wstał wcześniej, czuł się dziwnie lekko, pogwizdywał przy goleniu. Zamiast śniadania wypił mocną kawę i poszedł do biura. Wykręcając numer Zjednoczenia, czuł, jak na czoło występują mu krople potu. Głos z drugiej strony oznajmił mu, że poprzedni rozmówca jest chory, ale okazało się, że sprawa jest wszystkim doskonale znana. Pracownicy Zjednoczenia mieli doskonałą zabawę, omawiając jego pomysł. A to dlatego, że

starożytni chcieli coś kupić, aby przekonać się, że produkcja mają w pierwszej kolejności na względzie swoje interesy, a dopiero później interesy potencjalnych odbiorców.

Drugi list, który wybrałem spośród innych, pochodzi od Edwarda Kacperczaka. Pisze on w nim.

Kiedy człowiekowi coś nie wychodzi, dobrze jest posłużyć się słowem „publicyżnym”. Już zwykła „cholera” przynosi znaczną ulgę, a coś dopiero słowo znaczenie grubsze. Właśnie znów coś nie wyszło memu koledze i użył sobie słowem wcale nie tak grubym, a zaraz usłyszał w odpowiedzi żeby się nie wyrażał, bo właśnie obchodzimy tydzień czystości języka. Pomysł z „dniami”, „tygodniami”, „miesiącami” jest znakomity. W tym wypadku przez rok cały można postugiwać się brzydkimi wyrazami, a przez jeden tydzień nadrobić wszystko nadzwyczajną troską o czystość języka i poprawność stylu. Zawsze wydawało mi się, że wszelkie tygodnie i miesiące mają ten sam oel — zwrócenie uwagi na jakiś problem i wyrobienie odpowiedniego nawyku, który trwałby przez rok cały, a nie tylko jego małą cząstkę. Ale skoro w życiu bywa inaczej, to i ja mam pomysł. Zgłaszam wniosek o zorganizowanie Tygodnia Ochrony Człowieka.

Zajmujemy się już wprawdzie ochroną środowiska człowieka, choć więcej jeszcze na ten temat mówi się niż robi. Ale wszyscy możemy się pocieszyć, że zawsze jest tak na początku, bo wszystko co nowe, przychodzi z trudem i rodzi się w bólach. Myślę, że Tydzień Ochrony Człowieka też nie od razu znajdzie uznanie, dobrze

Człowieka jest nam bardzo potrzebny.

Tyle Edward Kacperczak. Ja ze swej strony wyrażam inną wątpliwość. Myślę, że nie potrzeba nam żadnego Tygodnia Ochrony Człowieka, a potrzeba nam natomiast radykalnej poprawy tego, co w powszechnie używanym żargonie nazywa się brzydko stosunkami międzyludzkimi. Nie jest to nic nowego. Piszemy i mówimy o tym od lat. Ale na pisanie i mówieniu najczęściej się kończy. A więc skończmy może z gadulstwem i weźmy się do roboty. Dobre stosunki między nami zależą tylko od nas samych. Nikt za nas tego nie zrobi.

Nasza propozycja pozostaje bez zmian. Piszcie o swoich pomysłach i projektach. Adres redakcji znajdziecie w stopce redakcyjnej na ostatniej stronie pisma. Nie zapomnijcie dopisać na kopercie: „Kosz na pomysły”. Czekamy na dalsze listy.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

Otrzymałem kiedyś ankietę pewnego czasopisma z dwoma tylko pytaniami: „Od kiedy pan pisze?” i „Jaka jest rola spotkań autorskich w życiu pisarza?”

No cóż, w ankietach na pytanie od kiedy piszę odpowiadam zawsze, że od drugiej klasy szkoły podstawowej. Wtedy właśnie napisałem pierwszy wiersz, jeśli jednak weźmie się pod uwagę również to, że prozą pisałem w pierwszej klasie, moja działalność twórcza zwiększa się o cały rok. Nie, co ja mówię. Chcąc być ścisłym, muszę także powiedzieć, że pojedyncze słowa i zdania pisałem jeszcze przed pójściem do szkoły, w czasach wojny. Nie zawsze jednak o tamtym pisaniu wspominam, bowiem naśladowałem dorosłych z tamtego okresu i stąd moje niektóre wykaligrafowane słowa, o czym przekonałem się później, nie zawsze były przyzwyczajone. A więc, odliczając nawet ową dla mnie samego tajemniczą twórczość przed-

dziedzinie języka polskiego. Zupełnie inaczej reagowało młode pokolenie na moje konsekwentne dążenia. Przedstawiciele tego pokolenia, do którego należałem, każdą moją propozycję w zakresie języka polskiego, stylu i ortografii przyjmowali z najwyższym entuzjazmem. I to mi dodawało otuchy, pomagało nie upaść całkowicie na duchu. Zrozumienie moich dążeń u młodego pokolenia ośmieliło mnie nawet do spotkań autorskich, których — Bogiem a prawdą — miałem wtedy wcale nie mniej niż dzisiaj. O, miałem ich o wiele więcej, znacznie więcej. Odbywały się one także w bardziej podniosłej, twórczej atmosferze. A i moimi słuchaczami, nie to co dziś, w większości byli młodzi czytelnicy, którzy w przeciwieństwie do przedstawicieli dorosłych, obecnych podczas moich występów autorskich, doskonale mnie rozumieli, głośno wyrażając swój entuzjazm. Tak doskonale rozumieliśmy się, że kiedy czas-

wieśników, którzy dali się namówić do tego, widoczne są do dziś w miejscach ustronnych i publicznych, których ściany są tak potwornie pogryzione, że — co gorsze — mimo ogromnej ludzkiej ciekawości, nie sposób tych napisów odczytać.

Dumny dziś jestem, że nie nabrałem brzydkiego nawyku i z oporami, niechętnie dawałem się namówić do pisania po ścianie. Dzięki temu nie piszę dziś w pomieszczeniach publicznych, nie piszę nawet na płotach. Wolalem, podobnie jak wtedy, zamiast na ścianach, pisać na papierze i to tylko wielkie poematy. I pewnie dzięki temu jestem pisarzem do dzisiaj. I zapewne dzięki doskonałemu opanowaniu techniki spotkań autorskich odbywam je chętnie również dzisiaj. Niestety, jak już wspominałem, dziś nie zapraszają już mnie tak często na spotkania autorskie. A jeśli teraz nawet zdarzy mi się czasem spotkanie, to już nie ma na nim zupełnie mło-

teoria względności Einsteina. Ja już wtedy uważałem, że wszystko jest względne i z tego punktu widzenia względności każdy wzór względnie pasuje do wszystkich zadań. Tak, wtedy byłem naprawdę doskonałym matematykiem. Zawsze mogłem się doliczyć, ile dostanę pieniędzy od rodziców. Dziś nigdy nie mogę się polapać w honorariach za książki, wypłacanych w tyłu rąk, iż wciąż się gubie, która to rata myślać zawsze, że to pierwsza w przeciwnym do wydawnictwa, które zawsze uważa, że to już ostatnia. W tamtym okresie mojej wszechstronności autorskiej występowałem również jako śpiewak. To ja w ogromnej auli pierwszy, wiele lat przed bitłesami, śpiewałem dziełami i Niemenem zapoczątkowałem ten, dziś odnoszący tak wielkie triumfy styl śpiewu. Już wtedy, podczas tamtych występów, mój głos był ochryply jak trzcina a publiczność tarzała się w sali jak w euforii, w wielkim podnieceniu. Niestety, o mnie jako prekursorze dzisiejszej sztuki piosenkarskiej nikt nie wspomina co trzeba przypisać niewdzięcznikom, którzy, naśladowując mnie z tamtego okresu, nie chcą się przyznać do naśladownictwa. Na zmianę z występami śpiewaczymi miałem wtedy także spotkania autorskie jako fizyk. Już wtedy nie zgadzałem się z jakimś Archimedesem, który fałszywie twierdził, że ciało zanurzone w cieczy traci tyle na wadze, ile waży ciecz wyparta przez to ciało. Jestem przekonany, że w tym miejscu pleć piękna mająca kłopoty z linią też zgodzi się ze mną co do niesłuszności jakiegos tam przestarzałego Archimedeasa. A więc znowu życie potwierdza moje powiedzenie podczas któregoś spotkania autorskiego jako fizyka, że ciało zanurzone w cieczy zanurzone w wadze, wychodząc bowiem już wtedy ze słusznego założenia, że przeciw ciężarowi ciała nasładowane w której jest zanurzone. Wniosek stąd prosty, nie chcąc przytyć, nie należy zbyt często się kapać. Ale dość o moich autorskich sukcesach jako fizyka, bowiem nie staramy się nieśmiało na inne autorskie dziedziny. Występowałem jeszcze, choć krótko, jako astronom, przez wiele lat jako biolog, odbywałem spotkania jako sportowiec. Mógłbym jeszcze powiedzieć o innych dziedzinach, ale po co. Myślę, że wystarczy jeśli wspomnę na koniec jeszcze o tych trzech, wymienionych wyżej rodzajach spotkań autorskich. Zwalazsza, że zaczęły to już być spotkania nie tak precyzyjnie specjalistyczne jak poprzednie. Zaczęły się o to występy podczas których reprezentowałem i astronomię i biologię i sport. Prezentując się bowiem jako sportowiec w walce bokserskiej, obrazowo przypominałem gesty przodków rodzaju ludzkiego, i to była moja ilustracja jako biologa. Oberwawszy porządnie, widziałem gwiazdy, które miałem na wyciągnięcie ręki i to był mój sukces jako astronoma. Potem zmęczony szedłem do prymitywnej komórki zaciągnąć się papierosem i ta podstawowa w tamtym czasie komórka znowu czyniła ze mnie eksperta w dziedzinie biologii. Potem jako biolog poświęciłem się obserwacji pantofelków o których, to znaczy o pantofelkach i ich właścicielkach, pisałem rozprawy naukowe wierszem i prozą. I tak oto powróciłem



DOROTA CHROŚCIELEWSKA

Bo tu był dom. Nad domem klon. U okna bzu chorągiew biała. Na progu siedział dziadek. W dłoń wnuczka mu rączkę swą wtykała.

Bo tu był dom. A w domu piec. A z pieca żar w policki gryzł. A potem w dom ten weszła śmierć. I piec się rozwiął. Z piecem bym.

To było tak. Nad dziadkiem klon. U brody bzu chorągiew biała. Dziadek wydzierał śmierci dom. Za to mi dziadek śmierć zabrała.

Dziwił się bez, dziwił się klon, pieca polewa malowana, kiedy mój dziadek w niebo dom zamiast mnie poniosł na barana.

A kiedy dziadek w niebo wszedł, świeci nade mną jego broda, choć tak naprawdę przecież wiem, że nie ma pieca, nie ma progu. I nie ma domu. Nie ma Boga.



RAFAŁ ORLEWSKI

Wypis z Epikura

śmierć jest dla nas niczym albowiem dobro i zło jest czuciem śmierć jest pozbawieniem czucia mamy przeświadczenie że śmierć jest dla nas niczym

przeło lepiej doceniamy śmiertelny żywot odrzucamy bezkresny czas wybijamy sobie z głowy pragnienie nieśmiertelności

głupcem jest kto mówi że trapi nas oczekiwanie śmierci

skoro istniejemy śmierć jest nieobecna gdy się pojawi nas już nie ma

jesteśmy ciągle po obu stronach odnajdywania życia

do początkowego swego zawodu, od którego zacząłem te zwierzenia, to znaczy do pisarstwa. Myślę, że jednak dzięki biologii, a konkretnie pantofelkom zostałem pisarzem. Wiele mi w tym pomogły moje spotkania autorskie w tej właśnie dziedzinie nauk. Niemalą rolę odegrały także wszelkie inne spotkania,

które kontynuuję od lat niemowlęcych i przedszkolnych. A więc, jak z powyższego wynika, najpierw trzeba mieć bogatą praktykę spotkań autorskich a potem dopiero można zostać prawdziwym pisarzem. Tą właśnie praktyczną radą, przeznaczoną dla najmłodszych adeptów pióra, kończę swoje zwierzenia.

CZESŁAW KURIATA

PERTURBACJE LITERACKIE

szkolną, i tak uprawiam działalność pisarską już ponad dwadzieścia lat.

Odpowiadając na następny punkt ankiety na temat spotkań autorskich podaję, że odbywam je również od przeszło dwudziestu lat. Tu także nie wspominać o okresie przedszkolnym, gdy niejednokrotnie przylapano przez publiczność, nad kaligrafowaniem tajemniczego dla mnie wyrazu na płocie, wzbudzałem jej podziw. Pomijając więc ten okres, lata przez które odbywam spotkania autorskie równają się prawie latom uprawiania przeze mnie pisarstwa.

Mam się więc czym pochwalić! Od prawie ćwierćwiecza staję bohatersko przed publicznością i moimi słuchaczami. Nie biorąc pod uwagę okresu przedszkolnego, o którym wspominałem przed chwilą, przez prawie całe ćwierćwiecze miałem zawsze swoich gorących czytelników. Już w pierwszej klasie szkoły podstawowej czytelnicy moi zwracali uwagę na oryginalność mego pisarstwa, już wtedy podkreślali moje nowatorstwo w zakresie języka i pisowni. Niektórzy nawet mówili, że jeśli tak dalej pójdzie, zmienię nie do poznania język polski, nie mówiąc już o stylistyce. Rokowano mi rolę nowatora jeśli chodzi o uproszczenie niewygodnej i zawilej pisowni. Niestety, większość moich czytelników z czasów tuż powojennych była wychowana na „przestarzałych tradycjach” i zupełnie nie poznała się na moich dążeniach awangardowych w pisarstwie. A szkoda, bo proszę tylko pomyśleć, gdyby przyjęły się moje zasady uproszczonej pisowni i stylu, jakże dziś byłoby ułatwione życie zarówno dorosłych jak i młodzieży uczącej się!

Na pocieszenie pozostaje fakt, że tylko starsi czytelnicy, wychowani na klasycyzmie, negowali moje osiągnięcia w

my zamyśliłem się, oni wyprzedzali moje myśli, co wyrażało się podobnie jak doświadczenia przedstawicieli społeczeństwa dorosłego, które nie mogło ścierpieć tego faktu, że my młodzi jesteśmy aż tak zgodni w dążeniu do nowego.

Wracając do podniosłości owych, z tamtego okresu spotkań autorskich, muszę przyznać, że emocja w tamtych czasach wzrosła do tego stopnia, iż pocitem się jak mysz przejęty swoimi awangardowymi myślami. A jaka panowała wtedy cisza na sali! Tak wielka cisza, że i ja jej często nie chciałem przerywać. Niestety, nie rozumiejąc moich nowych myśli, w dziejach ludzkości ma się rozumieć, przedstawiciele społeczeństwa dorosłego często bojkotowali moje spotkania autorskie w sposób, powiedziałbym, arogancki. Oto rozpoczynali swoje długie, staroświeckie przemówienia głosząc przestarzałe poglądy. Aha, muszę w tym miejscu powiedzieć jeszcze kilka słów na temat moich spotkań autorskich w tamtym okresie. Otóż, o ile sobie dobrze przypominam, scenaria ich była również iście awangardowa i surowa, jak przystało na autora, który wyznaje prostotę aż do ciszy posunięta. Na sali nie było wtedy tego co dziś: sentymentalnych kwiatów, patetycznych hasel na cześć autora. Ja, jako autor, stałem sobie skromnie przed młodą publicznością na tle czarnej ściany, którą zafarbował przedstawiciel dorosłego społeczeństwa przesiąkniętych tradycją, nazywał tablicą. I ten człowiek wychowywany na klasycyzmie zrywał się, że nie chce pisać po ścianie. Już wtedy przecież wiedziałem, że ten zwyczaj gryzmołenia po ścianie pozostaje na całe życie. Ci, których potrafił zmusić ów człowiek dorosły do pisania kredą na czarnej ścianie, zrobił wiele szkody społecznej. Efekty uległości ród-

dzieży. Najpewniej wszyscy już powyrastali i, podobnie jak dorosli w tamtych czasach, bardzo niechętnie przyjmują moje występy i moje „zabieranie głosu”.

Wspominając swoje spotkania z tamtego okresu martwię się dziś jednym. Mianowicie moim zubożeniem, które nieśmiało próbuję zaważania osobowości ludzkiej jaką jest dążność do specjalizacji. Dziś na spotkaniach autorskich czytamy poematy, opowiadania, fragmenty powieści, mówię o literaturze, słowem, są to tylko spotkania literackie. O, dawniej byłem o wiele wszechstronniejszy. Oprócz poranków literackich, w salach nazywanych klasami miałem wiele innych, różnych tematycznie spotkań. Raz byłem doskonałym chemikiem, który szanował swoją wiedzę i odkrycia nie chcąc ich za szybko ujawniać przed światem. Innym znowu razem miałem spotkanie z publicznością jako geograf, wielki podróżnik, który, również z oporami, ale czasami dawał się wreszcie namówić do zdradzania swoich naukowych tajemnic i wymieniał wyspy i kontynenty a nawet oceany, o których nikt przedtem nie słyszał, nawet ów będący na spotkaniu przedstawiciel społeczeństwa dorosłego, który natychmiast wpadał w złość. Złość jego wywodziła się stąd, że to ja odkrywałem nowy kontynent i ocean a on, który całe życie twierdził, że znał się na geografii, nie miał na swoim koncie żadnego odkrycia. W okresie, o którym opowiadam, miałem również spotkania autorskie jako matematyk. Niestety, moich doskonałych i trafnych przekształceń wzorów nikt jeszcze wtedy nie rozumiał, nawet młode pokolenie, które w innych dziedzinach chwytano moje myśli w lot. Dopiero dziś, po latach zostałem zrehabilitowany, kiedy powszechnie jest znana

„SOBIE DO PORTRETU”



Debiut

TOMASZ SOLDENHOFF ZDROJEWSKI

na jasnym tle bez nakrycia głowy z zielonym płaszczem ortalionowym na dłoni przewiązany sznurowadłem wierszy pakiet zegarek to

ja kontrolaktor dla wielu dla siebie daktyl na jabłoni

„ZABAWA W TEATR...”

Ktoś kogoś niesie na rękach buchnęły drzwi prześmiewczym wrzaskiem zawarte jak omdlałe usta

wokół maski — Zakładam maskę

PERPENDOSI

czuję starzejących się genów pod skórą krzyku pulsacje słyszę wymyślasz śmierci świątecznej wśród śmiechu gruczołów widzę przetrącony szew grzbietowej struny trącam ją myślę minął mnie Geometrę wodzący kąt niepokoju

BUCHALTER

pilnie poszukiwany

W miarę, jak przemysł krajów Zachodniej Europy przygotowuje się do ostrej walki konkurencyjnej, podyktowanej rozszerzeniem Wspólnego Rynku, bezrobocie wśród wysoko wykwalifikowanych specjalistów staje się poważnym problemem socjalnym.

Zmniejszeniu się liczby specjalistów technicznych sprzyjał, w Niemcym stopniu, ów gorączkowy pospiech, z jakim odbywa się łączenie zachodnioeuropejskich firm. Bardzo mało miejsc dla bardzo wielu doskonałych specjalistów jest poważnym zagadnieniem, które, w mniejszym lub większym stopniu, odczuwają: Anglia, Francja, Włochy, Holandia i Szwecja.

Co porabiają ludzie, którzy stracili pracę? Ze statystyk wynika, że pracownicy administracji, nawet wyższego szczebla, i inżynierowi trudniej znaleźć pracę, niż wykwalifikowanemu robotnikowi. Wprawdzie, w odróżnieniu od ludzi, zwalnianych z pracy w Stanach Zjednoczonych, Europejczycy otrzymują przed wypowiedzeniem pracy różne zasiłki i ulgi włącznie z możliwością zmiany kwalifikacji zawodowych. A że zmiana kwalifikacji jest najczęściej nieodowna, wskazuje fakt, iż w Europie Zachodniej poszukuje się nie inżynierów, a specjalistów finansowych. Buchalterzy mają pracę zapewnioną.

Nie ma bardziej dramatycznej sytuacji, niż ta, kiedy człowiek, który jeszcze do niedawna chodził w aureoli władzy, przemienia się nagle w żebraka bez środków do życia. O degradacji społecznej tych ludzi świadczy wszystko: i próby wygładzania przyzwolice w znoszonej koszuli i postarzanym kołnierzyku, i jedyny podniszczony garnitur, wyjmowany z szafy

na specjalne okazje, i grymas nieudolnie kryjący zmarszczki, żeby wyglądać młodziej, i sztuczne ożywienie podczas prób zademonstrowania „dynamizmu i energii”, których wymagają bossowie firm i kompanii.

„Cały czas musi się głuپیо uśmiechać... — tak lapidarnie określiła pewna kobieta swego męża „ganiającego po mieście w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia”.

Jeden z największych europejskich koncernów przemysłowych stworzył w ostatnich latach Arnold Weinstock, który uchodzi za krańcowo bezwzględniego bossa wśród brytyjskich korporacji. W wyniku jego posunięć, do jednego kotła poszły trzy wielkie kompanie przemysłu elektrotechnicznego „British General Electric”, odpowiednik amerykańskiego „General Electric”. W „procesie reorganizacji” straciło pracę około 50 tysięcy ludzi, w tym ponad dwa tysiące pracowników naukowych, zatrudnionych w zakresie badań teoretycznych.

Również przemysł zachodniemiecki odczuł katastrofalne dla robotników następstwa podobnej „reorganizacji”. Jej konsekwencje — jak to określił ekonomista Zjednoczenia Związków Zawodowych — „były przerażające”.

W 1972 roku „Badische Anilin- und-Soda-Fabrik”, koncern „pochodny” od niemieckiego kartelu chemicznego

„IG-Farben” i amerykańska korporacja „Dough Chemical” nabyły po 50 procent akcji mniejszego zach. niem. koncernu chemicznego „Frick”. Właściciele tego koncernu zostali zmuszeni do zamknięcia trzech fabryk w pobliżu Duesseldorfu, wyrzucając na ulicę kilka tysięcy pracowników, w tym około tysiąca pracowników administracyjnych niższego i średniego szczebla.

Decyzja ta wywołała gwałtowne spory w całym kraju na temat władzy i wpływów w NRF wielonarodowych korporacji. Obecnie masowe zwolnienia z pracy napotyka na coraz bardziej zdecydowany opór.

Trudno dziś podać dokładne liczby bezrobotnych pracowników administracji i specjalistów technicznych w Zachodniej Europie, ponieważ w różnych krajach obowiązują odmienne metody obliczania ilości ludzi bez pracy. Ponadto wielu bezrobotnych, do niedawna dobrze zarabiających, odmawia rejestrowania się. Jednakże dane związków zawodowych do których zwracają się ludzie o pomoc, wskazują na szybko zwiększającą się bezrobocie w Anglii, Francji, Holandii i Szwecji.

W okresie od listopada 1970 roku do kwietnia 1972 roku liczba bezrobotnych wśród pracowników administracyjnych i technicznych wzrosła na Zachodzie w dwójnasób. W Anglii i we Francji, gdzie są to siły robocze są o wiele większe, ilość bezrobotnych zwiększyła się dwukrotnie. Szczególnie szybko rośnie liczba ludzi bez pracy wśród osób starszych oraz młodzieży, kończącej studia wyższe.

W wielu krajach Zachodniej Europy wykształcenie uniwersyteckie zaczyna tracić na atrakcyjności. We Francji ilość młodych ludzi, ubiegających się o przyjęcie na Uniwersytet Paryski, zmniejszyła się w roku 1972/73 o 5 procent, a na wschodzie kraju, na przykład na uniwersytet w Nancy — aż o 37 procent.

W Wielkiej Brytanii obcięto środki na finansowanie prac naukowo-badawczych, co spowodowało spadek liczby studentów. Obserwuje się ogólne zjawisko, że w Zachodniej Europie trudniej zdobyć wykształcenie niż w Stanach Zjednoczonych. Jeśli utrzyma się taka tendencja, „elitaryzm” społeczeństw europejskich, tak często krytykowany przez Amerykanów, zwiększy się jeszcze bardziej.

1970 roku do kwietnia 1972 roku liczba bezrobotnych wśród pracowników administracyjnych i technicznych wzrosła na Zachodzie w dwójnasób. W Anglii i we Francji, gdzie są to siły robocze są o wiele większe, ilość bezrobotnych zwiększyła się dwukrotnie. Szczególnie szybko rośnie liczba ludzi bez pracy wśród osób starszych oraz młodzieży, kończącej studia wyższe.

W wielu krajach Zachodniej Europy wykształcenie uniwersyteckie zaczyna tracić na atrakcyjności. We Francji ilość młodych ludzi, ubiegających się o przyjęcie na Uniwersytet Paryski, zmniejszyła się w roku 1972/73 o 5 procent, a na wschodzie kraju, na przykład na uniwersytet w Nancy — aż o 37 procent.

W Wielkiej Brytanii obcięto środki na finansowanie prac naukowo-badawczych, co spowodowało spadek liczby studentów. Obserwuje się ogólne zjawisko, że w Zachodniej Europie trudniej zdobyć wykształcenie niż w Stanach Zjednoczonych. Jeśli utrzyma się taka tendencja, „elitaryzm” społeczeństw europejskich, tak często krytykowany przez Amerykanów, zwiększy się jeszcze bardziej.

chorem na tę samą chorobę, mimo, że organizm jednego chorego może go przyswajać dziesięć lub pięćdziesiąt razy szybciej niż innego chorego.

Problem polega na tym, żeby komponować leki przeznaczone wyłącznie dla określonego pacjenta. Znany specjalista amerykański, dr Louis Sarrett uważa, że farmakologia weszła obecnie na drogę badań, zmierzających do precyzyjnego określenia działania leków, a nie produkowania wciąż nowych preparatów. Pozostaje tu jeszcze wiele znaków zapytania, a przede wszystkim szuka się odpowiedzi na pytanie: jak działają leki w organizmie i jakie w nim wywołują reakcje chemiczne?

Lekarze — twierdzi dr Sarrett — znają zaledwie mechanizm działania aspiryny. Inny specjalista, dr Louis Shroeter zwraca uwagę, że brak jeszcze niezawodnych sposobów kontrolowania dróg działania lekarstwa w organizmie chorego. Nie wiadomo na przykład, w jakim momencie i w jakim stopniu następuje nasylenie krwi danym preparatem i jak długo nasylenie to pozostaje na tym samym poziomie w organizmie danego pacjenta. Shroeter wyraża opinię, że nadejście czasu, kiedy będzie można, już w momencie urodzenia człowieka, określić jego wrażliwość na lekarstwa.

Wydaje się, że nie jest to aż tak odległa przyszłość, jakby się mogło wydawać. W jednej z amerykańskich klinik uniwersyteckich przechodzi obecnie próby nowy, szybko działający system pod nazwą: „Detektor wrażliwości na lekarstwa”. Jego konstruktor, dr Yan Busch twierdzi, że detektor określa efektywną, z punktu widzenia terapii, dawkę lekarstwa dla każdego pacjenta. Przy konstrukcji tego aparatu wzięto pod uwagę najnowsze zdobycze w dziedzinie chemii, włącznie z zastosowaniem elektronicznej techniki pomiarowej. Urządzenie to może przeprowadzać szybkie i niedostrzegalne zmierzenia zawartości produktów rozpadu hormonalnego w mo-

czu! Określiwszy wrażliwość pacjenta na lekarstwa, będzie można ustalać dawkę leków, odpowiadającą indywidualnym cechom chorego. Sprowadza to do minimum potencjalne niebezpieczeństwo niepożądanych reakcji.

Około 5 proc. wszystkich chorych, przybywających do szpitali amerykańskich, ulega niepożądanym reakcjom na lekarstwa, a 9 proc. toksycznemu działaniu tych leków.

Uboższe zjawiska, więc wzajemne oddziaływanie leków lub ich nieefektywność, to bardzo różne problemy, związane ze stosowaniem współczesnych lekarstw.

Sledząc zmiany, zachodzące w moccu pacjenta, można przy pomocy „detektora wrażliwości na leki” dokładnie określić efektywność terapii lekami i już wcześniej uprzedzić lekarza o możliwości niepożądanych działań ubocznych. Można także stwierdzić, czy chorego zażywa leki, czy też nie.

Stosunek ludzi do postaci leków jest krańcowo różny. Na przykład w Stanach Zjednoczonych, jeśli pacjent może wybierać między tabletką, proszkiem, czy iniekcją — wybiera tabletkę. We Francji także. W Japonii chorzy wolą proszki. A w Ameryce Łacińskiej chorzy lubią przyjmować leki w sposób najbardziej nieprzyjemny — w postaci zastrzyku. Najwidoczniej uważają, że miarą skuteczności leku jest ból. Co kraj to obyczaj.

W przyszłości stanie się z pewnością możliwe przygotowywanie leków w wielu wariantach. W niektórych krajach prowadzi się eksperymenty ze szczepionkami w opakowaniu aerozolowym. Podczas gdy delfci oglądają film, w sali rozpyla się szczepionkę, którą wchłaniają one niepostrzeżenie, nabywając niezbędną odporność. Nie wielkie, indywidualne urządzenie aerozolowe, używane dziś przez astmatyków, przechodzi obecnie próby kontrolne w celu sprawdzenia możliwości wprowadzania w podobny sposób lekarstw choremu na raka płuc.

Oprac. J. CZECH

TABLETKA

czy proszek?...

Kiedy lykamy tabletkę lub wypijamy łyżkę mikstury — działanie tego lekarstwa w naszym organizmie może być całkiem odmienne, niż w organizmie innego człowieka, cierpiącego na tę samą chorobę.

Cechy dziedziczne, waga, wzrost, wiek, pożywienie, powietrze, pora dnia zażycia lekarstwa, a nawet określone skłonności do koloru i formy lekarstwa

— wszystko to może wywierać duży wpływ na zamierzone działanie preparatu. W praktyce lekarskiej, ten sam preparat leczniczy podaje się wszystkim

W KRAINIE WIELKICH WYDM

Dalszy ciąg ze str. 1

z republiką Mali. Od lat ciągnęły tędy karawany wiozące sól z głębi pustyni, by ją wymienić na plody rolne z górskich okolic północnych. Jedziemy środkiem palmowych gajów i kiedy wydoświadczamy się z gęstwy drzew, oaza Colomb-Bechar wita z daleka żółtą wieżą katedry i białym minaretem meczetu. Miasto o nowoczesnym wyglądzie, szerokiej prosiolinijnych ulicach, jest zbiorowiskiem najróżniejszych ras i narodowości, nadających tej handlowej oazie specyficzny charakter. Krzykliwy, żywo gestykujący, kolorowy tłum przelewa się nieustannie przez restauracje, sklepy, hale targowe, usadowione wokół rynku pod białymi, misternie rzeźbionymi arkadami. W hotelu „Pod Palmami”, otoczonymi uroczym miniaturowym gajem palmowym, zatrzymujemy się na nocleg, by od rana ruszyć w drogę do krainy Wielkich Wydm.

Pasma Wielkich Wydm. Czyli Wielki Erg Zachodni rozciąga się na południe od Atlasu Saharyjskiego między oazami: Colomb-Bechar, Beni-Abbes, Timimum i El-Golea. Więcej

od gór wiatr odrywał w ciągu wieków od zwietrzałych granitowych stoków Atlasu masy bardzo drobnego, delikatnego piasku koloru ciemnopomarańczowego, formując wciąż rosnące wwyż piramidy. Tak powstały Wielkie Wydm.

Niewielka oaza Tarbit leży na skraju Wielkiego Ergu. Wylania się nagle za jednym z zakrętów drogi jak wytrąceni omyłkowo z filmowego kadru. Uciekamy z prażącego od wielu godzin słońca w cień gaju palmowego, kipiącego bujnie rozpanoszoną roślinnością. Ogromne palmy porastają brzegi bajorka pokrytego rzęsą, w którym swojsko kumkają żaby. Trawy i zarośla otaczają krzaki różowo kwitnących oleandrów o niezwykle delikatnym zapachu. Wnet czujemy się u szczytu szczęścia i dopiero teraz doceniamy prawdziwość powiedzenia o oazie szczęśliwości, do której wzdychają strudzeni pielgrzymi.

To właśnie tu, w tej oazie, nasz miły znajomy inżynier architekt miał rendez-vous z jadowitym węzłem kobra. Zainteresowany urodą jakiegosi nieznanego kolorowego kwiatu, zaczął ustawiać się z aparatem fotograficznym, gdy wtem za plecami, usłyszał dziwnie sapanie, postęki-

wanie. Kiedy zdziwiony odwrócił się, ze zgrozą ujrzał sprężonego na całą swoją wysokość węza kobra, wpatrującego się w niego przenikliwie. Niewiele myśląc, z aparatem pod pachą, dał przysłowiowego „dyla” w kierunku samochodu. Gdy był już w bezpiecznej odległości, blisko drzewce samochodu, obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy go „Czarna Śmierć” nie goni. Wąż ogromny susami gwał w przeciwną stronę, również przerażony spotkaniem jak nasz przyjaciel...

Pod wieczór docieramy do Beni-Abbes — białe osiedle leży u stóp czerwonych wydm-olbrzymów, w gęstwie zieleniących palmiarni. Ued Saura opuszcza miasto wielkim półkolem i biegnie środkiem rozległej piaszczystej kotliny. Koryto rzeki, wijącej się licznymi zakrętami, wygląda jak ciało skorpion — część południowa uedu tworzy tułów, a część północna — długi zakręcony ogon. Hotel „Pod Wielką Wydmą” leży na urwistej skarpie. W dole wśród gęstwy palm rozłożyła się tubyleza wioska — prymitywny ksar. Widać jak na dłoni krzątające się między glinianymi domami kolorowo ubrane kobiety, biegające dzieci, na

prostokątnych dachach domów suszy się bieleźna i barwne chusty, którymi mieszkańcy ksaru przewiązują włosy. Między palmami leżą małe półka zbóż i warzywno-owocowe ogrody, otoczone niskim glinianym murem. Wąskie ścieżki przesłizgują się, klucząc i ginąc wśród domów i drzew. Kryte ciemne uliczki tworzą zakamary ponure jak jaskinie zbójce. Niedługo stacowały kryjówki i schronienia mieszkańców ksaru, broniących się przed rozbójnikami. Ale to dawne czasy. Dziś kipi i wra życie w malowniczo wtopionej w palmy miarnej wiosce, ubogiej ale bezpiecznie i szczęśliwej.

Hotel „Pod Wielką Wydmą” dopasowany jest ściśle do otaczającego ła. Pokoje wykute w wapiennych skałach pobielone z zewnątrz i wewnątrz, mają kulisty kształt grot. Niskie pulapy — głowa stuka się co chwila w sufit i bożne ściany. Panującego półmroku nie rozprasza mdłe światło kaganekowych lamp, zawieszonych nad łóżkami. Skrzyplące drewniane drzwi nie domykają się, u góry ogromna szpara, która wlatuje mroźne powietrze saharjskiej nocy. Zawieszony w rogu drzwi pajak wielkości nie-

toperza jest powodem mójego wielkiego zaniepokojenia. Do rana pozostaje jednak nieporuszony w swej siatkowej matni, całkowicie lekceważąc naszą obecność. Pierwsze promienie wschodzącego słońca podrywają nas na nogi.

W nowoczesnej części osady, złożonej z białych domów przy prosiolinijnych ulicach, aż kipi od ruchu, gwaru i kolorów. Berberzy, Arabowie, Murzyni, tubylcy obok przybyszów z okolicznych oaz, pstrokaty odziani, brzęczący ciężkimi bransoletami, naszyjnikami, koleżkami, mieszają się z licznymi Europejczykami w kolorowy tłum, przeciągający leniwie ulicami miasta. Mężczyźni i chłopcy handlujący wielkimi jaszczurami, prowadzonymi na łańcuchach, ptakami, proponują nawet warana i jadowitego węza. Kobiety z odkrytymi twarzami, o negroidalnych rysach, w kolorowych wysokich turbanach na głowach, z ogromnymi obręczami w uszach, spacerują w gromadkach. Niektóre niosą dzieci w workach na plecach; inne dźwigają kosze i dzbany na głowach. Śludne i czyste

miasteczko zostało wybudowane przez Francuzów obok tubylezego ksaru.

Ksar sprawia wrażenie labiryntu. Ścieżka, kluczy między glinianymi ubogimi lepiankami, ciasnymi studzienkami podwórkami, otoczonymi murem, pomiędzy kanałami doprowadzającymi wodę z Saury i palmami. Przez półotwarte drzwi domów, uchylone furki w murach dochodzi uszu jednostajny gwar głosów, pojedyncze krzyki dzieci, beczenie kóz i baranów. Zmieszane wonie smażonych placków, ambr, olejów, kadzidel przepajają powietrze słodkawym zapachem. W przejściach migają kolorowe spódnice kobiet, wychylają się ciekawie zmierzwiłone łbki brązowoczarnych malewów, przechodzą z dzbankami wody na głowach bosa, cienkonogie dziewczyny.

Przecinając wioskę ukosnie wracamy w dolinę Saury, niesamowicie piękną teraz w czerwonym oświetleniu wieczoru z długimi kładącymi się na wydmach cieniami palm. Noc zapada gwałtownie, bez wolnej szarówki nasilającego się zmierzchu. Ogromna czerwona kula wpada zupełnie nagle jak w morze, za granatowy pas wydm na horyzoncie i ziemię zalewają ciemności.

EWA BEKIER



FILM

Konwicki

W Kinie Studyjnym LDK trwa cykl prezentacji twórczości najbardziej znanych polskich reżyserów filmowych. Wbrew pozorom, jest to niezczęsta okazja spotkania z filmami, które mają swoje miejsce w powojennych dziejach naszej kultury, mają też swoją legendę. Pokazane w wybranym zestawie, sygnalizują drogę twórczych poszukiwań i cechy indywidualne poszczególnych twórców. Dla pokolenia widzów młodszych, dla których dawne dyskusje wokół „Kanału” czy „Eroli” nie są już nawet legendą, prezentacje tych filmów — to często ich premiery. Dobrze przyjęte, to dowód ich niezaprzeczalnych wartości. Dotychczasowe przeglądy filmów Andrzeja Munka i Andrzeja Wajdy miały swoją publiczność, jej udział w kończących cykle spotkaniach dyskusyjnych potwierdzał potrzebę tych imprez. A nie zapominajmy, że przecież filmy te w podobnych zestawach pokazywano w TV, że przecież pojawiają się również w normalnym kinowym repertuarze. Widać, że pewne, organizowane specjalnie i w ten sposób bardziej uroczyste, filmowe prezentacje mają swych zaprzysiężonych zwolenników.

Aktualnie w Kinie Studyjnym LDK trwa pokaz twórczości Tadeusza Konwickiego — pisarza i filmowca, którego działalność artystyczna jest, również w perspektywie światowej, swoistym ewenementem. Tzw. „kino autorskie” jest od wielu już lat jednym z głównych trendów sztuki filmowej. Jego wyróżnikiem potocznie jest przypisanie pełnego autorstwa filmowego utworu reżyserowi, który swym nazwiskiem podpisuje zarówno scenariusz, jak i realizację filmu. Sprawa pełnego autorstwa była i będzie w sztuce filmowej zawsze pewnym nieo określonym problemem, podział zasług między scenarzystę, reżysera, operatora i innych współautorów dzieła filmowego jest bowiem zadaniem nie do końca rozwiązywalnym. Zgodzono się, jak dotąd, na formułę kina autorskiego właśnie wtedy, gdy reżyser realizuje swój własny pomysł, swój scenariusz, choć wiadomo, że piętno wybitnej reżyserkiej indywidualności naznacza również te dzieła, których scenariusze firmują inni ludzie. W dziełach polskich kina dotyczy to głównie właśnie filmów Munka i Wajdy.

Przypadek artystycznej twórczości Tadeusza Konwickiego wprowadza nas jednak w inną sferę zjawisk współczesnej kultury. Konwicki uprawia dwie dziedziny sztuki — jest literatem i filmowcem, wypowiada się piórem i kamerą. I są to w jego twórczości dwie pełnoprawne formy wypowiedzi. Pisząc swoje książki i realizując filmy, sprawia niewątpliwie kłopoty historykom literatury i historykom filmu. Konwicki na kartach książki, spisującej dzieje polskiej literatury bez swoich filmów? Konwicki w historii filmu bez swoich książek? Swoisty znak czasu sztuki XX wieku, zwiastujący również potrzebę poszukiwań nowych metod prób jej ogarnięcia i interpretacji.

W proponowanym przeglądzie obejrzeć możemy pierwszy, powstały w roku 1958, jako prywatne przedsięwzięcie, film „Ostatni dzień lata”, następnie „Zaduszki” z 1961 roku, „Salto” z 1965 r. I wreszcie ubiegłoroczną premię-re-film „Jak daleko stąd, jak blisko”. Wspomniane filmy mają swoje miejsce zarówno w dyskusjach o „szkole polskiej”, o jej węzłowych problemach i cechach, jak i w całościowym dorobku Tadeusza Konwickiego. Jego powieści i filmy tłumaczą się i dopełniają nawzajem. W „Jak daleko stąd, jak blisko” zaś, jak w soczewce, skupiły się wszystkie dotychczasowe wątki i motywy tej dwutorowej twórczości oraz cała artystyczna indywidualność Tadeusza Konwickiego.

Warto z okazji, którą Kino Studyjne proponuje skorzystać w chwili, gdy filmów w kasach kupić czy w filmotece pożytyć jeszcze nie można. Książki mają tę wielką przewagę, że można po nie sięgnąć na półkę.

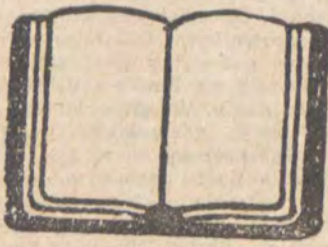
JESLI CHCECIE, ZOBACZCIE...

„MOTYLE” — kolejny film Janusza Nasfetera, reżysera bezprzykładnie wernego jednemu tematowi, którym jest świat dziecka. Reżyser o swej twórczości mówi sam: „Pokazuje na ekranie tragedie dziecięce, które stają się jakby zapowiedzią tragedii ludzi dorosłych, tragedii „w ogóle”. Bohaterowie „Motyli”, to 12-14-letni chłopcy i dziewczęta, a watek główny, to ich trudne problemy okresu dojrzewania i budzenia się pierwszych uczuć.

„MĘCZYZNA, KTÓRY MI SIĘ PODOBA” — nowy zwiastunek Claude Leloucha, autora „Kobiecy i mężczyzny”, oczywiście z muzyką Francis Lai i z udziałem samej Annie Girardot i Jean-Paul Belmonda. Wiecej reklamy nie trzeba. A fabuła? — oczywiście taka, jaką rodzi sytuacja, w której mężczyzna i kobieta dochodzą do wniosku, że się kochają. Sceneria, jak to u Leloucha, bogata, bo dla ludzi zamężnych stworzona, a do tego Hollywood, Las Vegas, Arizona, Nica.

„GODZILLA KONTRA HEDORA” — przedstawia najpopularniejszą bohaterkę japońskiej serii z potworami. Godzilla wystąpiła dotychczas w dziesięciu filmach i żadne z konkurencyjnych straszycieli nie potrafiło jej zagrozić. W pierwszym swym filmie Godzilla budziła strach i grozę, niszcząc ludzką cywilizację. W między czasie japońskim realizatorom udało się ją oswoić i w swym ostatnim filmie stała w obronie tejszej cywilizacji, walcząc bohatercko z ohydą Hedora.

EWA NURCZYŃSKA



KSIAZKA

KSIAZKI SPOD LADY

Zainteresowanie pozycjami wchodzącymi w skład określonych serii świadczy wymownie, że odbiorcy są coraz częściej namigniętymi zbieraczami, że chętnie planują swoje księgozbiory w oparciu o serie, która daje im kanon lektury z określonej dziedziny. Specjaliści obliczają, że w chwili obecnej funkcjonuje na naszym rynku około 500 serii wydawniczych, od fundamentalnej Biblioteki Klasyków Filozofii do biblioteczki hobbystycznej dla nastolatków „Mój Konk”. Praktycznie rzecz biorąc niemal każde wydawnictwo ma dziś na swoim koncie kilka lub kilkanaście serii. Szczególnie Państwowy Instytut Wydawniczy ma „szczęśliwą rękę” do tworzenia serii o starannie przemyślanych, wieloletnim programie, które zdobyły sobie szeroki krąg entuzjastycznych zwolenników, są często sprzedawane „spod lady”.

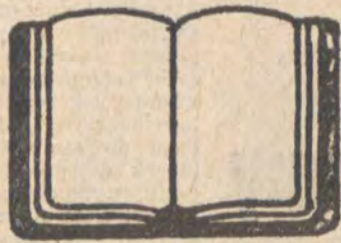
Najgłośniejsza z nich, seria „ceramowska”, zrodziła się z przypadku. Ogromne powodzenie książki Cerama „Bogowie, groby i uczeni” spowodowało przyjęcie szaty edytorskiej tego tomu dla szeregu dalszych znakomych prac popularizatorskich, które dziś nie potrzebują żadnej reklamy. Treści naukowe podane w popularnej i literackiej formie interesują szerokie rzesze tak zwanych laików — ludzi, dla których dzieła naukowe będzie zbyt hermetyczne, a podręcznik czy encyklopedia — zbyt skrócone. Dla nich właśnie seria „ceramowska” ma urok nieodparty. Nie będzie też z pewnością tego szukała nabywoczek kolejna publikacja z tego cyklu: „Dzieje dawnych Turków” Lwa Gumilowa, których autor, wybitny historyk i orientalista radziecki, w oparciu o wartygodne i trudno dostępne dokumenty daje niezwykle interesującą próbę rekonstrukcji dzieł dawnych ludów tureckich.

Serią pokrewną, której każdy nowy nakład rozczytuje się błyskawicznie, jest cykl „Życie codzienne”. Jego rozpiętość tematyczna jest ogromna. Sięga od starożytności po czasy nowożytne, od prastarych kolebek cywilizacji Babilonii, Grecji Homeryckiej, Rzymu, poprzez średniowieczną Galie, Paryż świętego Ludwika, renesansową Florencję i barokową Hiszpanię, a także kraje innych kontynentów — Indie, Kongo, Japonię. Życie powszednie człowieka, jego dzieła zwykły czy uroczyście, tryb życia, zajęcia, wygląd mieszkań, ubiór i pożywienie, sposób myślenia i stosunek do otaczającego świata, kultury religijnej i organizacji życia zbiorowego stanowią przedmiot każdego z tomów serii. Szczególnie ciekawy fakt, obok przekładów coraz częściej pojawiają się „polskie” pozycje serii, będące rezultatem badań naszych pisarzy i naukowców. Tak więc ostatnio Ludwika Press zajęła się „Życiem codziennym na Krete w państwie króla Minosa”, a Bronisław Geremek, historyk-mediewista w książce „Życie codzienne w Paryżu Franciszka Villona” przykłada uwagę czytelnika bożactwem do detail obyczajowych środowiska występku Paryża w późnym średniowieczu. Ostatni rozdział książki poświęcony jest życiu niezwykłego poety-rzemiesznika F. Villona.

Wielką karierę na rynku czytelnym zrobiły biografie — często zbeletryzowane, ale zawsze oparte na solidnej podstawie dokumentów. Tak właśnie charakter mają książki z PIW-owskiej serii „Ludzie żywi”, wychodzącej od 1961 r. Zamierzeniem autorów serii jest ukazanie życia wielkiego człowieka, możliwie najpełniej, najbardziej wszechstronnie, w oparciu o wspomnienia rodziny i przyjaciół, o listy, o zanotowane gdzieś wspomnienia samych bohaterów o dokumenty wydobyte z archiwaliów zbiorów. Pierwszą książką serii była praca P. Herza poświęcona Słowackiemu, ostatnio zaś wydany tom, pióra Adama Ostrowskiego, prezentuje sylwetkę „Hrabiego Kamila Cavoura”, wybitnego włoskiego męża stanu, pierwszego premiera zjednoczonego państwa w 1861.

Serią, którą można i trzeba kolekcjonować od początku, zwłaszcza że ukazywały się dopiero pierwsze tomiki, jest międzywydawnicza Biblioteka XXX-lecia, mająca na celu prezentację najwybitniejszych utworów prozatorskich, poetyckich i dramaturgicznych w powojennej literaturze polskiej. Mimo swojej nazwy seria bynajmniej nie ma doraznie rocznicowego charakteru, jest przedsięwzięciem długofalowym, starannie przygotowanym i mającym szansę ożywczo wpłynąć na cały ruch wydawniczy. Wśród zestawu tytułów serii znajduje się wiele pozycji, które stanowią obowiązkową lub nadobowiązkową lekturę szkolną, co powinno rzutować na wysokość nakładów. Pierwsze czerne pozycje: „Opowiadania” Marii Dąbrowskiej, „Tristan 1946” Marii Kuncewiczowej („Czytelnik”), „Pożegnanie z Marią. Kamienny świat” Tadeusza Borowskiego (PIW) i „Profesor Tutka” Jerzego Szaniawskiego (Wydawnictwo Literackie) stanowią obiecujący początek: mają nowoczesny „wystroój” edytorski, atrakcyjną, dobrze foliowaną okładkę, drukowane są na niezłym papierze, czytelna, przyjemna dla oka czcionką.

JAN OKOPIEN



KSIAZKA

XX tom Rocznika Łódzkiego

Kolejny, dwudziesty tom „Rocznika Łódzkiego” w założeniu redakcji upamiętnia podwójny jubileusz: 550-rocznicę nadania praw miejskich osadzie Łódź oraz 130-lecie Łodzi przemysłowej. Jednakże oba te wydarzenia znajdują nader słabe odbicie w książce odzwierciedlającej wreszcie naukowe historyków regionalnych. Przynosi ona co prawda sporą dawkę interesujących informacji z łódzkiej przeszłości, ale tylko jeden artykuł został poświęcony początkom miasta (ma charakter jubileuszowy), natomiast zabrakło w ogóle jakiegos syntetyzującego ujęcia kształtowania się i rozwoju łódzkiego przemysłu na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat.

Brak akcentów rocznicowych bynajmniej nie dezawuuje zawartości „Rocznika”. 15 rozpraw, artykułów i prac mniejszych, pięć recenzji oraz bogata kronika w znacznym stopniu rozszerzają naszą dotychczasową wiedzę o „łódzkiej przeszłości”.

Artykuł doc. dr R. Rosina wyczerpująco przedstawia początki miasta. Temat ten omawia autor ponownie po 16 latach, wnosząc poważne korektury i uściślenia odnosnie swych dawnych twierdzeń. W świetle wnikliwej analizy dokumentów widzimy ewolucyjną drogę przekształcania się osady w miasto, zaś dokument Władysława Jagiełły z 1423 roku, nadający Łodzi prawa miejskie, stanowi tylko prawne potwierdzenie już istniejącego stanu.

T. Bojanowski rozpatruje hitlerowski plany wobec łódzkiego przemysłu wstąpiennego w latach 1939—1945. Jest to solidne studium z zakresu gospodarczej polityki okupanta. Wbrew uśłutowaniom czynników miejscowych, władze III Rzeszy, w ograniczonych rozmiarach, wykorzystywały łódzką potencjał przemysłowy. Proces dewastacji fabryk włókienniczych nasilił się w latach 1943—1944, a ze względu na brak surowców przemysł łódzki będzie wykonywał tylko najpilniejsze zamówienia wojskowe.

Sporo rozpraw i artykułów omawianego tomu dotyczy rozwoju ruchu robotniczego. P. Samus zajął się zagadnieniem działalności SDKPiL w Łodzi w latach 1901—1904; Barbara Wacbowska omówiła stanowisko i działalność łódzkiej organizacji KPP wobec przewrotu majowego; Z. Pietrzak przedstawił rozwój organizacyjny PPR w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu miasta (19. I—19. II. 1945). Artykuł K. Bańskiej o budowie i urządzeniu wieżnicy politycznej w Łodzi (w budynku tym od 1960 r. mieści się Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego), pośrednio dotyczy także historii ruchu robotniczego, gdyż przeważająca część więźniów w okresie caratu stanowili bojownicy organizacji robotniczych, zwłaszcza w czasie rewolucji lat 1905—1907.

Inne, wartościowe materiały „Rocznika” przedstawiają strukturę własnościową przemysłu włókienniczego Łodzi w końcu XIX wieku; stosunki mieszkaniowe do 1914 roku; działalność lekarzy na rzecz rozwoju społecznego form opieki zdrowotnej w okresie przed I wojną światową. Wreszcie temat luźno związany z Łodzią — omówienie problematyki historycznej tygodnika „Wiś”, w okresie rezydowania redakcji w naszym mieście.

Do rzędu ciekawostek historycznych należy zaliczyć notatki archiwalne Czesławy Ohrysko-Włodarskiej dotyczące wyprzedaży rekwizytów teatralnych przez Aleksandra Zeiwerowicza po pożarze teatru (24 października 1911 roku).

Dział recenzji jest stosunkowo ubogi i zawiera omówienie 5 książek, natomiast kronika w obszernych sprawozdaniach przypomina przebieg obchodów i uroczystości o charakterze historycznym w Łodzi. W tym dziale — został zamieszczony także nekrolog — przedwcześnie zmarłego prof. dra hab. Henryka Grajewskiego, wieloletniego kierownika Katedry Historii Państwa i Prawa na Uniwersytecie Łódzkim.

Signalizując ciekawą zawartość „Rocznika” nie mogę powstrzymać się od powtórzenia mojej uwagi, skwitowanej przez redakcję milczeniem. Proponowałem na łamach „Odgłosów” (nr 44/1972), by wprowadzić do „Rocznika”, jako dział stały, bibliografię regionu. Jest to potrzebne nie tylko dla historyków, ale także dla wszystkich interesujących się łódzką przeszłością. Redakcja ze względów technicznych nie może zamieszczać recenzji z wszystkich prac dotyczących Łodzi i Ziemi Łódzkiej, ale wszystkie one zasługują na zewidencjonowanie.

I jeszcze jedna uwaga — w dwudziestu tomach „Rocznika” zgromadzone jakże wiele informacji, poglądów, ocen łódzkiej przeszłości. Do jubileuszowego, 25 tomu należy dołączyć dodatek w formie wkładki ze spisem treści. Będzie on stanowić istotne ułatwienie dla nauczycieli, studentów, działaczy terenowych, jeśli chodzi o wykorzystywanie „Rocznika” dla siebie i innych.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

PLASTYKA

HASIOR

Wystawa Władysława Hasiora jest kolejną ekspozycją, zorganizowaną w ramach odbywającego się w Łodzi cyklu wystaw, prezentujących tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej. Twórczość Hasiora jest zjawiskiem złożonym i odczytywana być musi w wielu płaszczyznach, aby stać się całością, zamkniętą i istotnie znaczącą. Nie miejsce tu na szczegółową analizę tejszej twórczości — dokonywano jej zresztą wielokrotnie z różnych pozycji. Pragnę jedynie przypomnieć pewne fakty, leżące u źródeł sztuki Hasiora i kształtujące jej fundamentalne założenia. Także osobowość i temperament artystyczny samego twórcy. Hasior urodził się w Nowym Sączu, jest wychowankiem zakopiańskiego liceum plastycznego, a więc uczniem Antoniego Kenara, a więc wyrósł w tradycji rzeźby ludowej, rozumiejąc głęboko jej sens, jej powagę, siłę witalną, bogactwo form obcych harmonii klasycyzmu, lecz przeciw harmonijnym. Wychował się w kręgu spontanicznej sztuki plebejskiej, zróżnicowanej z kosciotłem, jarmarkiem, witrażną malomiaszczekowego zakładu fotograficznego, a zatem w klimacie, w którym blaszane wojenne serdusko, zeschnięte kwiaty, bibułka wokół obrazów świętych, odpuszczone akcesoria tracą swój sens dekoracyjny, a nabierają powagi, bowiem do głosu dochodzi tu nie aspekt estetyczny, a intencja, wiara, tradycja. Dlatego w sztuce Hasiora nie ma „dowcipów” — jest powaga celebrecji, obrzędów, magii. Hasior nie nobilituje przedmiotu, wyciągniętego ze śmietnika do rangi dzieła sztuki — nie o to mu idzie. Do-



„RYDWAN SKANDYNAWSKI” w Soderstalje — Szwecja 1972



„PŁONĄCA PIETA” — 1972 wł. Muzeum „Louisiana” K.Kopenhagi

konuje on ceremonii, reżyseruje spektakli rytualny, odwołuje się do spraw najistotniejszych, takich jak życie, śmierć, cierpienie, wiara. Przeprowadza przy tym liczne zabiegi świętokradcze, obrazoburcze, ale wszak takie właśnie zabiegi były zazwyczaj początkiem nowych religii, schizm, obrzędów...

Hasior odwołuje się również do najprimitwniejszych idoli ludzkich — do sił przyrody... do ognia, wody, powietrza, wietru, ziemi. Misterium zostaje poszerzone — sięgając wstecz obejmuje jednocześnie i to, co dzieje się aktualnie w cywilizacji dzisiejszej. Poprzez żywioły i przedmioty wdzierają się w ludzką egzystencję, stawia jej znaki zapytania uwzięła ją lub oplakuje... Może byłaby to gra na krótką metę, bo człowiek współczesny śladny jest coraz to nowych i nowych spektakli, gdyby Hasior nie łączył w sobie wrażliwość, wyobraźni materialnej z głębokim rozumieniem znaku plastycznego i ze zrozumieniem symboli naszej codzienności.

ANDRZEJ GRUN

Na marginesie wystawy Władysława Hasiora w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Sienkiewicza.

EUGENIUSZ IWANICKI

STUDNIA W GÓRZYSTYM TERENIE

W górzystym terenie mieliśmy wykopać kolejną studnię. W dotychczas wykopanych trzydziestu dwóch nie trafiliśmy na wodę. Majster kłął wyjątkowo soczyście i długo. Zarzucał nam lekcważący stosunek do samego przedsięwzięcia, beztal nas za nadmierne szafowanie okrzykami w rodzaju „eee hop!” albo „uuuch!”, które nie dawały pożądanego efektów akustycznych, a nade wszystko gnębił nas za nie dość zdecydowane dążenie w górę.

— Skaly, szefie — powiedział ktoś nieśmiało.
— Łopaty nie wytrzymują — Gorąco!

Ale szefa poniosło. Zapowiedział, że z trzydziestej trzeciej nikt przed nim nie wyjdzie, aż wybijie wodę.

Tym razem rozpoczęliśmy w kotlinie, w miejscu dziwnym i ustronnym. Łopaty krzeszały iskry, ci na górze ledwo nadążali z wyciąganiem wiader z piaskiem. Nikt z nas, będących na dole, dokładnie nie wiedział, jak długo trwała ta mordercza praca. Już nie widzieliśmy nawet nieba. Ciemność, zaduch, wzmagał się upał. Jeden z nas zachorował i jego błyszczące w gorącoce

oczy zasępowały nam wygasłe lampki karbidowe.

W końcu przebiliśmy się do nie końącego się korytarza, ni to do wyschniętego korytarza podziemnej rzeki. Czulo się smród palących się szmat, siarki i jeszcze czegoś, co przypominało zapach fabrycznych ścieków. Gdzieś z głębi z owych kłębówisk i oparów szedł do nas ktoś ubrany w kolkak i rozwijającą się pelerynę.

— Czego? — zapytał, a gorący podmuch osmalił nam włosy.

— Szukamy wody!
— Ha, ha, ha! — roześmiał się i poculiśmy, że kołyszą się nad nami góry. — Ha, ha, ha! Tu szukacie wody?! Za głęboko zeszlście, panowie! Stanowczo za głęboko!

Rzuciliśmy się na górę. Krzyceliśmy i wołaliśmy tak głośno, że szef nie tylko dał każdemu z nas po gębce, lecz reszcie wódki kazał zamknąć w pancerniej szafie.

— Bydlaki! — krzyczał. — Zamiast ucziwej pracy piją do utraty przytomności, a potem opowiadają niestworzone rzeczy.

Staliśmy zawstyżeni. Szef miał rację. Lecz skąd ta smola na naszych butach?

straszna i ostateczna. Mogłem liczyć na siebie, gdyż sadząc z oddechem jamnika, znajdował się on w stanie co najmniej przedzawałowym.

Ostrożnie odchyliłem zasłoneż wizeru i spojrzalem na korytarz. Pod sufitem paliły się żarówki, ciemnymi prostokątami odznaczały się drzwi sąsiednich pokoiów, nikogo także nie było obok windy.

Co jest? — myślałem. — Czyżby halucynacje? W takim razie dlaczego uległ im Yard? Psy z reguły wietrzają każde zbliżające się nieszczęście.

W przypływie nagłego strachu zaczęliśmy znosić do przedpokoju fotele, miski, rondle, stół, biurko, książki z regałów, maszynę do pisania, moje notatki, długopis, wyświeczone buty. Powstała niezgorsza barykada, której nie mógł by sforsować najdzielniejszy oddział komandosów.

Nad ranem, tuląc się do siebie, schowaliśmy się pod koce na tapczanie. Długo widzieliśmy twarz skradającego się bandyty, w końcu zasnelismy snem twardym i długim.

Obudzilo nas słońce. Wesołe plamy światła leżały na podłodze pozbawionej dywanu. Na balkonie siedziała para synogarlic. Z dołu dolatywał warkot samochodów. Yard zerwał się pierwszy i szcze-

kając radośnie zaczął szukać swojej miski.

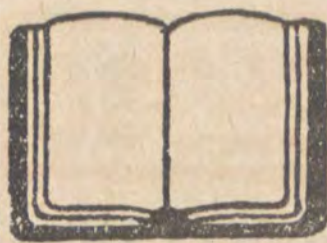
— Przeżyliśmy, stary — powiedziałem. — Dziękuję za ostrzeżenie.

Ale jamnik kręcił ogonem i popiskiwał z głodu. Do południa zajmowałem się ustawianiem mebli na miejsca. Były ciężkie, trudne do podźwignięcia. Ale w nocy nosisiliśmy je we dwójkę, pamiętałem dobrze. Dopiero o drugiej zdecydowałem się otworzyć drzwi na korytarz. Był pusty. Na mojej wycieraczce leżał nieruchomy kształt. Był to niezwykle pomysł, którego poszukiwałem od lat. Całutki pomysł do nowej powieści. Niestety, był martwy. Zginał przed moimi drzwiami, bowiem przestałem już wierzyć w istnienie dobrych pomysłów.

— Wszystko przez ciebie! — krzyknąłem do Yarda, lecz przypomniałem nagle, że przecież Yard w nocy rozmawiał ze mną. — Dlaczego milczysz? Przecież wiem, że umiesz mówić!

Lecz Yard jak zwykle kręcił ogonem i spoglądał mi w oczy z psim oddaniem.

Wówczas pojąłem, że była to być może jedyna szansa, która bezpowrotnie zaprzepaciłem. Pomysł pomysłem, ale mówiącego psa nie miał na pewno żaden z pisarzy.



KSIAZKA

Dalszy ciąg ze str. 5

tów, które przekazał miejscowej bibliotece. Dowiadujemy się również, że jeden ze współzałożycieli firmy „Gebethner i Wolff”, zasłużonej placówki księgarsko-wydawniczej, urodził się w Zgierzcu.

„Słownik” — pierwsza w kraju publikacja tego typu, podsumowuje wielowiekowy dorobek pracowników książki a zarazem określa dalsze perspektywy badań nad nim, pełniąc funkcję zestawu tematów do opracowania oraz materiałów ich dotyczących, bowiem każde hasło uzupełnia — nieraz bogata — dokumentacja źródłowa. Tu należy zaznaczyć, że około 75 proc. artykułów — to pierwsza próba naszkicowania sylwetek księgarzy, wydawców itp. w oparciu o skape nieraz materiały: ogłoszenia, katalogi, wzmianki w pamiętnikach i listach itd.

Omawiana książka mimo wielkiej wartości naukowej oraz pozytywnego wpływu, jaki wywrze na dalsze badania bibliologiczne, nie jest pozbawiona usterek. Należy do nich zaliczyć braki w dobrej hasel. W związku z tym należy podsunąć pod rozwagę Komitetu Redakcyjnego takie nazwiska jak: Juliusza Saloniego — pracownika „Biblioteki Polskiej”, założyciela łódzkiej Spółdzielni Wydawniczej „Polonista”; Edwarda Uzdarskiego — twórcy łódzkiego Instytutu Wydawniczego, Zygmunta Lorentza — współinicjatora Towarzystwa Bibliofilów; Ludwika

KSIEGA polskich SPRAW

Stolarzewicza — bibliografa kultury Łodzi; Kazimierza Pawliaka — księgarza i wydawcy, popularnego w naszym mieście „Czytają”; Juliana Tuwima — zapamiętałego bibliofila, którego księgozbiór zasilił biblioteki naukowe; Sotera Rozmiar-Rozbickiego — autora piosenek, które sam kolportował w XIX w. na jarmarkach (m. in. w Łowiczu), będąc przez to chyba pierwszym wydawcą i sprzedawcą broszurek z „przebojami”; Mariana Walentynowicza — ilustratora wielu książek, współtwórcy postaci Koziołka — Matolka; Tadeusza Boya-Zeleńskiego — nie tylko tłumacza lecz także wydawcy swoich przekładów, Marka de Latour — właściciela drukarni w Wilnie; Stanisława Kaufmana — wieloletniego wydawcy powieści zeszytowych.

O ile pominięcie szeregu nazwisk wynikało z braku materiałów lub innych niezależnych od Redakcji „Słownika” przyczyn o tyle trudno uzasadnić takie usterek książki jak brak indeksu (a powinno być ich kilka!) oraz wydanie jej w formie „przekładania” drukowanego na kilku rodzajach papieru.

„Sądzimy — głosi słowo wstępne Komitetu Redakcyjnego — że uda nam się ogłosić — zamierzony i częściowo już przygotowany indeks (osób i instytucji w układzie według dziedzin i miejscowości) i połączyć go z suplementem, uwzględniającym brakujące hasła”.

Wypada więc życzyć, by suplement i następne edycje „Słownika” zostały wydane w takiej formie, jaka należy się owej księdze spraw polskich, przedstawionych poprzez burzliwe nieraz losy pracowników książki.

STANISŁAW BOROWKIN

NOCNY GOŚĆ

W nocy obudził mnie szept: „Boję się!”

Myślałem, że to sen, gdyż nikogo oprócz mnie w pokoju nie było. Jestem samotnikiem, kawalerem, mieszkam sam w M-2 z jamnikiem Yardem.

Po chwili znów ten sam szept: „Słyszysz? Boję się!”

Głos dochodził z przedpokoju, z kąta, gdzie spał Yard. Zerwałem się z tapczanu i boleśnie objając się o meble usiłowałem odnaleźć kontakt.

— Ciii! — odezwał się szept.

— To ja, Yard. Właśnie ktoś usiłuje otworzyć drzwi od przedpokoju.

— Ty mówisz?!

— Nieważne. Chodź tu, przedzie!

Istotnie, za drzwiami chrobotało, prawdopodobnie ktoś dopasowywał wytrych albo macał zamek stalowym drutem.

Yard przyniósł w pysku z kuchni tasak. Była to broń



ANDRZEJ NOWACKI — grafika

Rodzeństwo Brontë

Kiedy dwa lata temu wpadła mi przypadkiem w ręce powieść „Dziwne losy Jane Eyre” napisana przez Charlotte Brontë (w polskim tłumaczeniu T. Świdorskiej) potraktowałem tę książkę jako jeszcze jedno dzieło klasycznej literatury angielskiej z epoki wiktoriańskiej, podobnie jak wydane u nas już poprzednio „Wichrowe wzgórza” Emilly Jane Brontë, rodzonej siostry Charlotte’y.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że za tytułami książek sygnowanych nazwiskiem Brontë kryje się pasjonująca, niemal sensacyjna, zarazem zagadkowa i mroczna, tragiczna nawet, historia genialnego rodzeństwa z Haworth w hrabstwie Yorkshire, na pograniczu Anglii i Szkocji.

Wyjaśnijmy od początku historię tej rodzinnej twórczości owego kolektynu pisarskiego, najdziwniejszego jaki zna dzieje literatury. Pastor Brontë, początkowo mieszkający w Thornton pisał w kiepskiej dydaktycznej wiersze i opowiadania. Przeniósł się później wraz z żoną i dziećmi do Haworth. W rok po tym umiera mu żona na gruźlicę. Pozostaje czworo dzieci: Charlotte, Branwell, Emilly i Anne. Dwie starsze

siostrzyczki zmarły na gruźlicę już w dzieciństwie. Najmłodsza jest Anne, która dopiero uczy się chodzić w chwili, gdy traci matkę. Sierotami oraz przybitym nieszczęściami ojcem, opiekując się odtąd niezamężną siostrą pastora. Dla kogoś kogo ciekawość zjawisko inspiracji twórczej przypadek i historia rodzeństwa Brontë są specjalnie interesujące. Otóż pewnego wieczoru mały jeszcze wtedy Branwell dostaje w upomniku od swego ojca pudełko z ołowianymi żołnierzami. Szalony z radości biegnie w noce i kuszul do pokoju siostrzyczek, by im pokazać otrzymany upominek. Od tego wieczoru rozpoczyna się wielka zabawa, gra trwająca latami, a która w ostatecznym wyniku wzbogaciła o kilka wybitnych książek angielską i światową literaturę. Nie uprzedzamy jednak faktów.

Siostrzyczki są równie zachwycone darem ojca co ich braciśzek. Każde z dzieci wybiera sobie jednego ołowianego żołnierzyka na własność nadając mu nazwisko ulubionego bohatera. Charlotte na przykład swego żołnierzyka będzie odtąd nazywała księciem Wellington, zwycięzcą spod Water-

loo. Reszta żołnierzów, a jest ich jeszcze dwadzieścia, pod rozkazami swych wodzów, w fantazji dzieci, wyruszą na morza, przeżywać będą chwile grozy i niebezpieczeństw, dokonają wypraw zdobywczych w głąb Afryki. Celem tych podbojów stanie się głównie Angria, położona nad brzegami rzeki Niger, której nazwę zasugerował rodzeństwu jakiś stary atlas geograficzny. Pamiętajmy, że w czasach kiedy dzieci Brontë bawiły się w zdobywanie dalekich terytoriów, Anglia jest u szczytu swej potęgi kolonialnej.

Z biegiem lat wyobraźnia czworga rodzeństwa poszerza granice zdobytego kraju, powołuje instytucje państwowe, ustanawia prawa. Wybuchają konflikty kolonialne i wojny domowe, szefowie przeżywają miłość, żenią się, mają swe ślubne i nieślubne dzieci. Czwórka dzieci, izolowana od świata, mieszkająca w ponurym domu probostwa, wśród surowej przyrody, stworzyła sobie swój własny literacki świat. Fikcja miesza się z rzeczywistością. W snach nawiedzają ich marzenia i fantazje z wymagłowanej krainy. Dzieci raz pochłonięte przez literacką fikcję żyją nią, zostają wciągnięte

w literaturę. Pastor, mający przecież sam ambicje literackie zachęca dzieci do pisania. Początkowo też rodzeństwo nie ukrywa przed nim swych dziecinnych czy młodzieńczych utworów. Dopiero później dojrzałe już dzieła pisane będą niemal w kompletnej tajemnicy. Powstają poematy liryczne i epickie. Zeszyty szkolne zapisywane są drobnym, prawdopodobnie przez oszczędność papieru, piśmem, Charlotte i Branwell prowadzą dziennik, który jest już jedynie ich wyłączną tajemnicą.

W roku 1846 ukazuje się drukiem zbiór poetycki pt. „Poems by Currer, Ellis and Acton Bell” (Wiersze pióra Currer, Ellis i Acton Bell). Tomik nie zdobywa sobie szerszego uznania. Nikt prawie nie interesuje się kim są jego autorzy, nikt nie domyśla, że za tymi trzema pseudonimami kryją się trzy piękne córki pastora i jego syn. W chwili ukazania się zbioru wierszy najstarsza Charlotte Brontë ma lat 30 (to dzięki jej staraniom wiersze ukazały się w druku), najmłodsza Anne ma 26.

W dwóch latach następnym ukazują się trzy powieści: „Dziwne losy Jane Eyre” napisana przez Currer Bell, „Agnes Grey” sygnowana Acton Bell i „Wuthering Heights” (Wichrowe wzgórza) pióra Ellis Bell.

Dwie pierwsze książki krytyka wita z zadowoleniem, ale „Wichrowe wzgórza” dostają się pod ostrzał gwałtownej krytyki. Powieść wykraczała bowiem zdecydowanie poza konwencje literackie epoki wiktoriańskiej. Oburzano się na gwałtowną, piekielną niemal grę namiętności jej bohaterów, oskarżano o ponure widzenie świata. Książka wywołała skandal i stała się dzięki temu sławną. „Wichrowe wzgórza” uchodzą dziś za dzieło wybitne, trwałą pozycję klasycznej literatury angielskiej.

Przez długi czas wydawało się, że historycy i znawcy literatury odszyfrowali pseudonimy trzech córek pastora. Ustalono która z siostr i jakie napisała książki. Pominięto przy tym całkowicie Branwell, nie przypisując mu niemal żadnej z powieści. Dziś okazało się, że właśnie Branwell był jednym z najaktywniejszych twórców rodzinnego kolektynu, odnalaziono teksty, które podpisywał czasem imionami zmarłych dawniej siostr, ustalono także np. szczegóły, że pisywał zarówno prawą jak i lewą ręką, że być może jego udział w powstawaniu powieści podpisywanych przez siostry był bardzo znaczny.

Francuz Raymond Bellour zadał sobie wiele trudu, podjął się mroźnej pracy rozszyfrowania zawilej zagadki twórczości rodzeństwa Brontë. I stwierdził, że powieści powstawały kolektywnie i że właściwie jedynie przypadek sprawił, że te lub ową książkę podpisywała ta lub inna z siostr.

Krótkie było życie rodzeństwa. Anna zmarła na gruźlicę w wieku 29 lat, Emilly Jane w wieku lat 30, Branwell dożył do 31 roku. Najdłuższą żyła Charlotte, która wyszła za mąż za wikarego Nicholasa, lecz zmarła już w rok po ślubie mając lat 39.

W powieściach rodzeństwa może nie dziwić wybujała fantazja, rozbudzona w izolacji na ponurym probostwie w Haworth, podsycana lekturą, ale zdumiewają realistyczne opisy sąsiadujące nieraz z mistyczną wizualnością, wizyjnością czy sentymentalizmem, zdumiewa nieraz także trafny i krytyczny opis stosunków dziewiętnastowiecznej Anglii, a nawet dostrzeżenie i głębokie rozumienie (ta stosunków społecznych, jak np. opis ruchu ludystów w Yorkshire czy charakterystyka środowisk ziemianstwa, zamężnych chłopów, robotników. Książki rodzeństwa Brontë były też wyrazem buntu kobiety przeciw ograniczeniu jej praw w zakresie intelektu i obyczajów. Powieści weszły na trwałe do literatury.

IANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECIEŻNOŚĆ

PISARZ I WYNAŁAZCA

W 1898 roku w amerykańskim ilustrowanym magazynie „The Century” Mark Twain opublikował opowiadanie o przygodach młodego wynalazcy, który miał przeróżne zabawne perypetie, kiedy starał się pogodzić swoją odkrywcza pasję z obowiązkami szkolnego nauczyciela. Z tego samego roku pochodzi też inne opowiadanie amerykańskiego pisarza, tym razem nie pozbawione wątku sensacyjnego. Jest ono futurologiczną fantazją na temat... telewizyjny, chociaż jak wiemy wiele teshce będzie musiało upłynąć czasu, zanim telewizja wkroczy do naszego codziennego życia. Bohaterami utworu są amerykański oficer Clayton oraz wynalazca sposobu przenoszenia obrazu na odległość, postaci pozostające we wzajemnym konflikcie. Clayton nie chce dać wiary w wynalazek, w związku z czym dochodzi do waśni z jego twórcą, a nawet rękoczynów, po czym każdy z panów rozjeżdża się w swoją stronę. W kilka lat później, kiedy wynalazca bał w Nowym Jorku, znów doszło do spotkania z Claytonem i tym razem zakończono

ego gorszącym incydentem. Niebawem okazało się, że wynalazca niespodzianie zniknął, a w trakcie podjętych poszukiwań w piwnicy domu Claytona odkryto... zmasakrowane zwłoki. Nic prostszego, jak uznać je za ciała wynalazcy; były oficer w długim procesie poszlakowym został więc skazany przez sąd na karę śmierci za zabójstwo. Ale skazany nie był byle kim, skoro jego żona była siostrzenicą samego gubernatora, więc obchodzono się z nim dobrze, zabiegano o uchylenie wyroku, zaś podczas pobytu w więzieniu stworzono mu komfortowe warunki. Wstawiono mu nawet do celi odbiornik telewizyjny, przez który Clayton w ciągu całego dnia oglądał rozmaitsze transmisje, nadawane z całego świata. Zabiegi wpływowych znajomych i przyjaciół na nie się jednak nie zdały i pod presją opinii publicznej gubernator musiał wyznaczyć dzień egzekucji. Przyjaciel skazanego, który przybył aby go podtrzymać na duchu w tej ciężkiej chwili, nie chcąc przyglądać się egzekucji pozostał w celi. Machinalnie spoglądał na wciąż

czynny odbiornik telewizyjny, nie bardzo zwracając uwagę na transmisję z jakiejś uroczystości, która nadawano z Pekinu. I oto w chwili, kiedy więzienny kapelan rozpoczął już odmawianie ostatniej modlitwy, zaś skazany stał ze strzykiem nałożonym na szyję, w tłumie osób zasiadających na pekińskich trybunach narrator rozpoznał nie kogo innego, jak rzekomo zamordowanego wynalazcę! Oczywiście wobec takich okoliczności wykonanie wyroku musiało zostać zawieszono, a niezwykła wiadomość w lot rozeszła się po świecie. Wkrótce sprawa została wyjaśniona: po zatargu z Claytonem w Nowym Jorku wynalazca udał się w dłuższą podróż po świecie. Nic nie wiedział ani o swojej rękomej śmierci, ani o tym, że Clayton został oskarżony i skazany za zabójstwo.

Tyle Mark Twain. Bohaterem obu opowiadań jest polski wynalazca Jan Szczepanik, który w drugim z nich występuje zresztą pod swym nazwiskiem. Wielki pisarz zetknął się z Polakiem osobiście w tym samym 1898 r., a to mianowicie z powodu, że zainteresował się jego wynalazkami z dziedziny tkactwa i powziął zamiar zakupienia ich wraz z prawem do eksploatacji na obszarze Stanów Zjednoczonych. Do transakcji nie doszło, jak się zdaje z powodów finansowych, zresztą kapitalistyczne zapędy wielkiego pisarza nie są tu sprawą najważniejszą. O wiele bardziej interesuje nas że człowiek jego pokroju silnie zakąszynował się wynalazkami Polaka nie tylko w zakresie tkactwa, ale zwłaszcza w zakresie przekazywania obrazu na odległość.

Właśnie w 1897 roku J. Szczepanik opublikował i opatentował swój wynalazek pod nazwą „telektroskop”, zwany po polsku „dalekowiedzem”, w którym — jak to można dziś stwierdzić — „uwzględnił już wówczas główne założenia odpowiadające dzia-

łaniu współczesnych urządzeń telewizyjnych”. Wynalazki tkackie J. Szczepanika, te, na których M. Twain zamierzał zrobić fortunę, zostały zgłoszone w urzędach patentowych równo na rok wcześniej. Nie były to jedne dziedziny twórczej aktywności wynalazcy; dotyczyła ona fotografii barwnej, filmu dźwiękowego i barwnego oraz innych dziedzin.

Gdyby J. Szczepanik był np. poetą, wiedzielibyśmy o nim od dawna a z książek mu poświęconych utworzyłaby się pewnie spora biblioteka. Był jednak wynalazcą, o którym obcy powiadał jako o „genialnym Polaku”, w dodatku wynalazcą, który nie stał się milionerem. I pewnie dlatego przez lata było o nim u nas mało. Władysław Jewświewicki, którego badawczy pasji zawdzięczamy odkrycie tej wielce zasłużonej i fascynującej postaci, przez długi czas nie mógł znaleźć wydawcy na swą pierwszą książkę o J. Szczepaniku. Było to całkiem niedawno. Uczony długo musiał tłumaczyć, przekonywać, choć... sprawa wydawała się oczywista. Dziś jest już inaczej: wydawnictwo „Interpress” ogłosiło niewielką, piękną książeczkę W. Jewświewickiego pt. „Polski Edison — Jan Szczepanik” w ramach serii „poświęconej wielkim Polakom. I to opublikowało w pięknej szacie, nawet z kolorowymi reprodukcjami odbitek fotograficznych, wykonanych aparatem i na papierze wynalazku J. Szczepanika. Nazwisko wynalazcy coraz częściej pojawia się na łamach prasy, w latach 1970 i 1972 Telewizja Polska nadała specjalne, poświęcone mu programy, w 1966 roku Technikum Łączności nr 2 w Łodzi postanowiło przybrać imię J. Szczepanika. Pomyśleć, że przypomnienie postaci wielkiego wynalazcy zawdzięczamy uporowi i pasji... jednego człowieka! Mimo nuty optymizmu, kończąca refleksja jest smutna: a iluż to twórców, zapomni-



nych polskich odkrywców, wynalazców, czeka dziś na swoje odkrycie? My, Polacy, lubimy poetów, pisarzy, malarzy; zbyt szybko zapominamy o tych, którzy wnieśli swój

LEKTOR

Zdarzeni A - I - Zwierzeni A

UTOPIA W KIELISZKU

Gdy ktoś głosi brednie, jest to zawsze świetna frajda dla felietonisty. Wszelkie zwariowane poglądy, pokretnie argumenty i jawne nonsensy są dla felietonisty tzw. samograjem, z którego przyrzadzić można efektywną, zabawną publikację, cieszącą Czytelników.

Nieco gorzej jest, gdy poglądy niepoważne wygłasza ktoś naprawdę poważny i godny szacunku. Tak się stało niedawno w „Prawie i Życiu”, gdzie prof. Tadeusz Bilikiewicz

postuluje wprowadzenie w Polsce... prohibicji. Autor jest wybitnym psychiatrą, człowiekiem mądrym i zatroskanym sprawą naprawdę ważną i niepokojącą.

Tadeusz Bilikiewicz pisze w swoim artykule rzeczy naprawdę słuszne, widzi problem alkoholizmu szeroko — na pewno szerzej niż nasze prawodawstwo. Prawodawstwo widzi bowiem w alkoholiku przestępcę i chce go karać, wychowywać itp. A przecież — pisze prof. Bilikiewicz — nie

da się za pomocą perswazji naprawić uszkodzoną kory mózgową.

Ma po stołkość rację? Alkoholik jest człowiekiem chorym i nie można nikogo karać za skutki spowodowane chorobą. Prawo znajduje okoliczności łagodzące dla psychopatów, zbrońców, itp., nie znajduje ich dla ludzi dotkniętych chorobą alkoholową.

Piszcie więc prof. Bilikiewicz rzeczy słuszne, choć na pewno niepopularne. I do tego miejsca zgadzam się z nim w całej rozciągłości. Ale, kiedy prof. Bilikiewicz dochodzi do wniosków i propozycji, wkracza w obszar absolutnej utopii i proponuje represje jeszcze gorsze niż prawodawstwo.

Od tego miejsca nie sposób się zgodzić z księżycością (od „księżycości”) wizją Profesora. Czciogodny autor postuluje bowiem prohibicję. Jest to propozycja zupełnie nierealna i to nie tylko z przyczyn wynikających z tzw. nożyc między kosztem produkcji litra spirytusu a jego ceną deta-

liczną. Jest to propozycja nierealna, bowiem produkcja państwowa zastąpiona zostałaby (należy miast i masowo) produkcją chałupniczą. Nieprzypadkowo użyłem tu określenia „chałupnicza”, które jest, jak wiadomo, jednym z krytycznych samogoniu.

Argumentacja Profesora jest dziecinnie prosta. Kiedy przestaniemy produkować i sprzedawać alkohol, stanie się on deficytowy. Wówczas liczba alkoholików będzie spadała. O święta naiwność! A walka z tajnym gorzelnictwem jest wg Profesora sprawą stosunkowo łatwą. Szkoda tylko, że nie pisze, jak sobie taką walkę wyobraża.

Wszelkie gadanie o zwiększonej kontroli i zwiększonych karach nie tu, oczywiście, nie da, ponieważ żaden aparat ścigania nie byłby w stanie takiej masowej przestępczości zahamować. Stany Zjednoczone miały daleko sprawniejszy aparat policyjny, a jednak... Po kilkunastu latach musiano z prohibicji w USA zrezygnować, a ze skut-

kami zrodzonego w jej wyniku gangsterstwa Amerykanie borykają się do dziś. W miarę pozytywne rezultaty prohibicji w Szwecji nie mogą być dla nas żadną optymistyczną prognozą, bowiem charakter narodowy Szwedów, ich stosunek do zakazów i alkoholu kształtowały zupełnie inne warunki historyczne. Niestety, w Polsce losy prohibicji przypominałyby raczej amerykańską klęskę niż szwedzkie zwycięstwo.

Tyle co do samego pomysłu, który jest po prostu naiwny i nierealny.

Dalej jednak prof. Bilikiewicz wtrąca w rejony literatury. Piszcie: „Należy rozszerzyć uważną kontrolę wszelkich publikacji (...) Opiniowanie książek, artykułów, scenariuszy (...) powinno należeć do kompetencji komitetów przeciwalkoholowych...”

Już widzę, jak komitet przeciwalkoholowy zdejmując z afisza najnowszą sztukę Grochowiaka, jak kieruje do kin studyjnych „Wesele” Wajdy,

jak wycina całe partie tekstu z literatury klasycznej i współczesnej. Fraszkli Jana Kochanowskiego zostaną dokładnie przetrzebione, podobnie jak wiersze Wespazjana Kochowskiego i Wacława Potockiego. Znajdą się na indeksie utwory Morsztyna, Bohomółca — biskupa Krasińskiego, biskupa Krasińskiego, biskupa Krasińskiego. Niezłoty, w tym czasie, powieści F. S. Fitzgeralda i Hansa Fallady, Hemingwaya i Haszka... Pójdą w kącie obrazy Modiglianiego i Utrilla — a przynajmniej zakazane będą ich biografie...

Oczywisty nonsens. Żaden komitet przeciwalkoholowy nie może być (i na szczęście nigdy nie będzie) uprawniony do „opiniowania” książek, artykułów, scenariuszy”. Prof. Bilikiewicz, występując w sprawie poważnej, ośmieszył podniesiony przez siebie problem sprowadzając go do absurdu.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

Jak to właściwie jest?

Użytkownik lub nabywca jakiejś rzeczy czy też usługi ma prawo zawsze poskarżyć się, czyli złożyć reklamację, jeśli nabyta rzecz lub usługa okaże się wadliwa i pełna niedoróbek. Tyle że skutki owych reklamacji bywają przeróżne. Gdy świeżo wprowadzony do nowego bloku lokator reklamuje nie zamykające się drzwi, ciekające krany, brak gazu i chwytające się klepki parkietu, to musi długo, długo czekać, zanim przyjdzie gazownik i naprawiając gaz rozwali wo-

dociąg, po czym w pół roku później przyjdą parkieciarze i przekładając klepki poobijszą narożniki ścian.

Gdy ktoś za ładne tysiące kupi telewizor, który po dwóch dniach syknie, błysnie i zamilknie, to musi wiele tygodni czekać zantim odpowiedni ludzie przyjadą, wezmą niefortunny mebel, po paru tygodniach zwrócą, po dwóch dniach syknie, błysnie i tak dalej. Można mieć w ten sposób przez parę lat telewizor, nigdy z niego nie korzystając.

Jeśli nabyty zegarek robi dwa okrążenia na dobę — można go najwyżej zostawić do naprawy, po której doba trwa dla zegarka piętnaście godzin. Ale można go zostawić do następnej naprawy, potem do trzeciej, piątej i ósmej, chodząc w międzyczasie bez zegarka. Nic innego zrobić nie można.

Gdy ktoś kupi za paręset złotych bućki, pochodzi w nich pół roku i odkleja mu się czubki, może przyjąć z awanturą do sklepu i zażądać zwrotu całej zapłaconej ceny. Sprzedawca ani piśnię, wyiega szufladę i placę. Za zwrócone pieniądze kupujemy w sąsiednim sklepie nowe bućki i chodzimy sobie w nowych następne miesiące, po czym szczęśliwie znów się coś odkleji i znów mamy nasze pieniądze z powrotem. W ten sposób kupno takich rzeczy, jak buty, ubrania, sweterki, kożuchy i wiele innych wyrobów przemysłowych nie stanowi żadnej

pozycji w budżecie rodzinnym obywatela, który zna przepisy i nie waha się wycisnąć z nich co się da. Jedyny warunek: muszą to być wyroby, na które producent nie udziela gwarancji. Gwarancja uprawnia wyłącznie do bezpłatnej naprawy w objętych tym okresem. Brak gwarancji uprawnia...

Nie, nie będziemy tu uczyć cwaniactwa, tych, którzy jeszcze sami nie wpadli na odpowiednie przepisy. W roku 1971 konsumenci zwrócili do handlu w trybie reklamacji towary o łącznej wartości 710 milionów złotych i tyleż milionów im zwrócono, dzięki czemu mogli na nowo nabyć takie same towary. Inaczej mówiąc — dostali je za darmo, chociaż z tych pierwszych też krócej lub dłużej korzystali.

Przed paroma tygodniami „Kierunki” opublikowały artykuł o ludziach, którzy przez całe lata zarabiali grubo tysiące na „reklamowa-

niu” towarów, przy czym zdarzało się, że za tę samą parę — powiedzmy, rozkrojonych butów — zwracano należność wielu osobom, często wcale nie istniejącym. Nie wiem, czy to było przestępstwo. Przecież zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego z 1968 roku (Dziennik Urzędowy MHW nr 26 pozycja 53) postanawia wyraźnie w paragrafie 10, że „wybór sposobu załatwienia reklamacji należy pozostawić nabywcy”. Spórność jakich to sposobów wybiera nabywca? Ano, może zażądać wymiany towaru, naprawy towaru, obniżenia ceny lub zwrotu ceny. Oczywiście wybierze zawsze: zwrot ceny. Towar ma skazę, której nie zauważyłem wcześniej lub która wyszła w trakcie użytkowania. Oddajcie forsz!

Nabywca nie ma obowiązku martwić się faktem, że cytowany paragraf 10 jest sprzeczny z Kodeksem Cywilnym. Tym powinno się było martwić Ministerstwo Handlu Wewnętrznego, ale nie każdy przeciętne czyta na co dzień Ko-

deks. Gdyby czytał, to by znalazł w artykule 560 taki sobie paragraf 1, który stwierdza, że kupujący nie może od umowy odstąpić (czyli nie może „anulować” dokonanego już aktu kupna, nie może żądać zwrotu zapłaconego, jeżeli sprzedawca oświadczy gotowość usunięcia wady nabytego przedmiotu, czyli jego naprawy. Dla przykładu — po odklejeniu się czubka w bućku nabywca zgodnie z kodeksem ma prawo żądać przyklejenia go z powrotem, co jest operacją niezmiernie prostą i przywraca natychmiast pełną wartość użytkową przedmiotu. Ale po co, skoro Zarządzenie MHW upoważnia do żądania zwrotu całej ceny i można od jutra chodzić w nowym bućku?

Więc płacimy siedemset milionów złotych, z czego tylko część jest niewątpliwie słuszną karą za brakorobstwo. Reszta jest premią dla cwaniaków.

CWIEK